

# ziemia

NR 1 • LISTOPAD 1956 • 3 ZŁ



C-III-1094

1032

607



# WISŁA PRZYSZŁOŚCI

Aleksander Łaski



← Pejzaż wiślany

Fot. M. Raczkowski

Przed trzydziestu paru laty Stefan Żeromski wyczarowywał ustami Seweryna Baryki wizję „nowej cywilizacji” w Polsce, snuł baśń o ujarzmionej Wiśle, zakutej w szklane tafle, pracującej dla człowieka, obracającej tysiące turbin. A jednocześnie rzucał słowa niewiary i rozpaczy: „Marzenia, marzenia”. Myśl wielka, choć nie oparta o wiedzę techniczną, ale wyczuwająca intuicyjnie wagę zagadnienia pozostała marzeniem.

Na całym jej biegu, od Przemysłu po ujście do morza, stanie kilkadziesiąt „stopni wodnych”.

Powstanie „kaskada Wisły”. Z tymi dwoma krótkimi słowami wiążą się dziesiątki problemów, nadziei i obaw. Poza to nie sprawa wydaje się prosta. Woda jest nam potrzebna: potrzebna przemysłowi, potrzebna ludności miast, potrzebna do nawodnienia łąk i pól, jako szlak dla statków i barek, musi poruszać turbiny elektrowni wodnych, przemieniać swą energię w prąd elektryczny, a więc — zatrzymać wodę. Lecz pamiętać trzeba, że woda to żywioł potężny i groźny, że bezkarnie nie można łamać jej odwiecznych praw. Przecież budowa na Wiśle stopni wodnych zmieni dotychczasowe warunki stwarzając zupełnie nowy ich układ. Należy przewidzieć wszystko, co może na-

Jeszcze dziś, gdy padnie słowo „Wisła”, wyobraźnia podsuwa nam znany widok; piaszczyste łąchy, zmienny nurt w płytkim korycie, wiklinowe kępy i wijące się wśród nich boczne koryta.

Choć ujęta w paru miastach w kłamry bulwarów, w dużej mierze objęta robotami regulacyjnymi, pozostała jednak Wisła nadal dziką rzeką. Pełną piękną w swej dzikości, ale pełną też i grozy, gdy wezbrana powodzią toczy swe wody rozpostarte szeroko wśród wałów ochronnych.

Pomimo tych wałów, pomimo regulacji pozostała Wisła groźbą dla ludzi, nie poddała się, nie służy im. Nie ziściły się jeszcze marzenia Żeromskiego.

Lecz mało kto w Polsce wie o tym, że przygotowuje się walna rozprawa z Wisłą. O władniemy nią inaczej, niż myślał genialny pisarz, ale o ileż bardziej realnie.

Walka człowieka z Wisłą ciągnie się poprzez stulecia. Wały przeciwpowodziowe sypiano nad nią już za czasów Kazimierza Wielkiego, a przy ujściu Wisły do morza — nawet wcześniej, bo w wieku XIII. Można przypuszczać, że i znacznie dawniej człowiek chronił swe domostwa i pola umacniając brzegi i syjąc obwałowania. Były to prace dorywcze, walka o znaczeniu lokalnym, prowadzona ze zmiennym szczęściem.

Późniejsze zainteresowania naszych przodków Wisłą na ogół ograniczały się do utrzymania jej spławności. Była wszak główną arterią ekspor-

tową: płynęło nią zboże i drzewo do Gdańska. Za panowania Stanisława Augusta zaznacza się wzrost zainteresowania stanem rzek. Komisja Skarbowa Koronna łożyła na utrzymanie w porządku ujścia Wisły do morza. Opracowano projekt regulacji Wisły pod Nowym Miastem — Korczynem. Z tego okresu datują się również prace nad regulacją Wisły w obrębie Warszawy, prowadzone na podstawie uchwały sejmu konwokacyjnego.

Gdy w wieku XIX w innych krajach rozpoczęto systematyczne prace nad regulacją rzek, Polska nie miała już samodzielności bytu. Wisła, pocięta przez kordony zaborcze, nie doczekała się jednolitej zabudowy. Najwięcej robót regulacyjnych wykonywano w zaborze pruskim, mniej — na terenach zaboru austriackiego, a najgorzej przedstawiała się sprawa pod tym względem w zaborze carskim.

Okres dwudziestolecia międzywojennego nie przyniósł zasadniczych zmian. Powstało szereg projektów, prowadzono nadal prace regulacyjne, lecz oblicze Wisły pozostało prawie nie zmienione.

Do dziś niemal cała Wisła ujęta została w linie wałów przeciwpowodziowych. W dużej części jej biegu prowadzone były różne roboty. Była to jednak wciąż tylko obrona.

Obecnie porzuciliśmy bierną obronę — przeszliśmy do ofensywy. W wyniku lat pracy hydrotechników, dyskusji, rozważań i projektów powstał plan zabudowy i wyzyskania Wisły.



Wisła koło Wilanowa (Miedzeszyn). Woda niszczy brzegi

Fot. Mirosław Raczkowski

K 187/66/02

20)



stąpić, zabezpieczyć się przed wszystkimi możliwymi konsekwencjami.

Mysleć przy tym trzeba nie tylko o samych zagadnieniach technicznych i gospodarczych. Wisła, niezależnie od wyzyskania jej przez gospodarkę narodową, musi pozostać naszą najpiękniejszą rzeką, nie może stać się kanałem ujętym w pancierz kamiennych czy betonowych murów i umocnień, prowadzącym brudne, zmętniałe od fabrycznych ścieków wody. Musi dawać ludziom radość, odpoczynek, cieszyć ich swym pięknem jako szlak letnich wędrówek.

To wszystko dać nam musi kaskada Wisły, a więc — właśnie owe stopnie wodne. Na razie powstał dopiero stopień, Przewóz pod Nową Hutą, jeden z mniejszych i mało efektywnych. Będzie ich w najbliższym czasie więcej, i choć dopiero cała kaskada Wisły da gospodarce narodowej pełne efekty, każdy stopień wodny stanowi krok naprzód.

By plastycznie, na możliwie pełnym przykładzie pokazać choć w skrócie problemy i piękno przyszłych stopni wiślanych, spójrzmy na wizję jednego z najciekawszych — na stopień Warszawa Północ.

W poprzek szerokiej podwarszawskiej doliny Wisły wznosi się zielony maszyn zapory ziemnej. Odbiega od prawobrzeżnego wyższego tarasu, porośniętego lasem, i śmiałym łukiem skręca ku korytu Wisły. Tam znajduje się zespół głównych budowli: jaz, siłownia, wodna, śluza. Jaz — to szereg potężnych filarów betonowych tworzących bramy zamknięte stalowymi zasuwami. Od strony górnej wody nie widać go prawie. Nad spiętrzone wody utrzymywane na równi z górną krawędzią zasuw wystaje za ledwie góra filarów. Gdy przyjdzie powódź, dźwig ukryty obecnie za kępą drzew na zaporze wjedzie na jaz i podniesie zasuwę na tyle, by przepuścić w dół rzeki nadmiar wód.

Siłownia wodna pulsuje wewnątrz cichym rytmem pracy szeregu potężnych turbin wodnych. Długi niski blok jej budynku lśni szybami kapturów nad każdą turbiną. Po sieci wysokiego napięcia, z rozsiadłej na brzegu rozdzielni mknie energia wytworzona przez jej turbiny.

Przez śluzę żeglugową, betonowy dok zamknięty z obu stron stalowymi wrotami, przechodzą pociągi barek.

I znów zieleń zapory ziemnej, biegnącej już na brzegu lewym ku skarpię tarasu wiślanego. Spiętrzone wody rozlały się szeroko po dawnym korycie i przybrzeżnych łąkach, po nieużytkach i kępach, po mazowieckich piaskach. Zbiornik, potężne jezioro parę kilometrów szerokie, kilkanaście kilometrów długie, oparte o naturalne brzegi lub o wały ziemne, łagodnymi piaszczystymi skarpami opadające ku wodzie, puls-

→ Wisła — Brzeg  
koło Modlina

Fot. M. Raczkowski



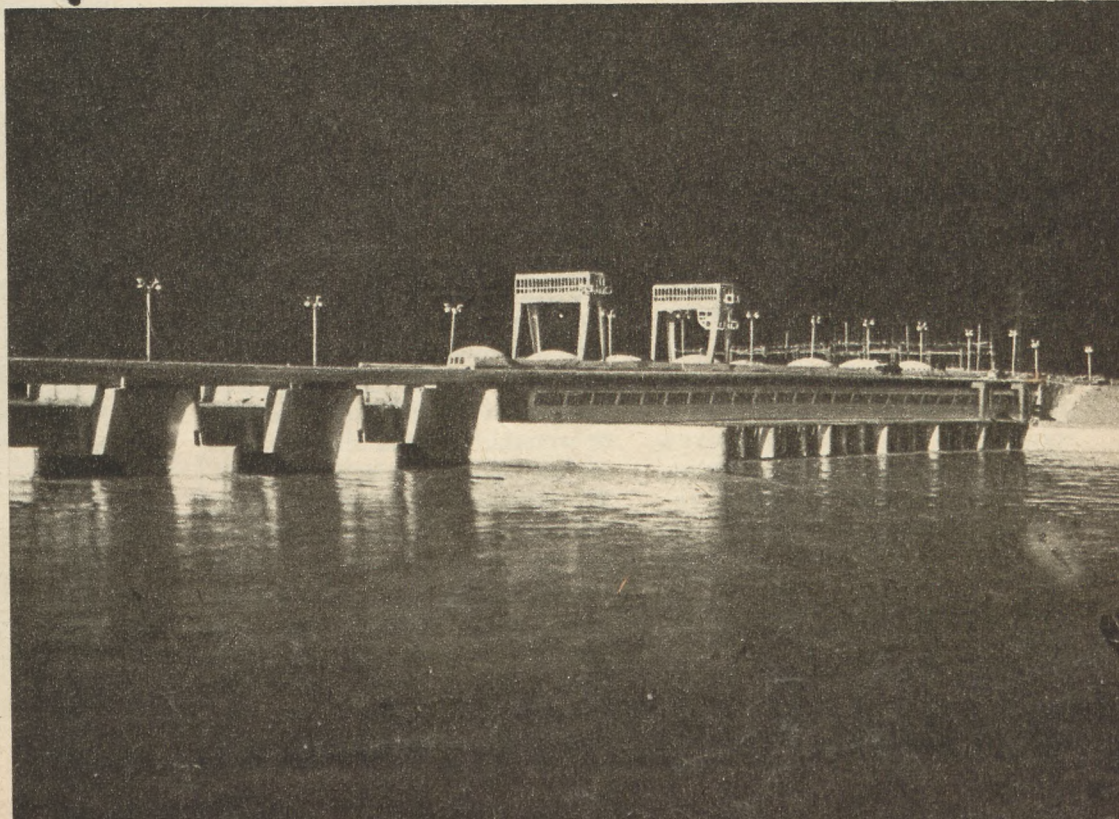
→ Wisła — Budowa poprzecznej  
tamy regulacyjnej

Fot. M. Raczkowski



→ Wisła — „Stopień Warszawa-Północ” widok na jaz i siłownię od strony dolnej (zdjęcie makiety)

Fot. M. Raczkowski



Dokończenie art.  
„Wisła przyszłości”  
na str. 19





← (Pierwszy od lewej): Rysunek Andriollego przedstawiający młyn w Ojcowie („Tygodnik Ilustrowany”, 1879 r.)

← Widok Ojcowia wg rysunku Feliksa Brzozowskiego, zamieszczonego przez „Tygodnik Ilustrowany” w roku 1879

↓ Brama wjazdowa zamku w Ojcowie

Fot. Tadeusz Przyppkowski

# OJCÓW W XIX W. DO ROKU 1863

Marian Gotkiewicz

Ojcow, zwany także Podzamczem, był na przełomie XVIII i XIX w. małą osadą położoną w dolinie Prądnika u stóp piastowskiego zamku, stanowiącego rezydencję starostów niegrodowych. Do starostwa ojcowskiego należały, prócz Podzamcza, wsie: Smardzowice, Bębło, Wielka Wieś, Jerzmanowice, Gołkowice i kilka innych. W drugiej połowie XVIII w. starostwo przeszło po Lubińskich w ręce Ignacego Załuskiego, a później jego syna Teofila, który zmarł w r. 1831 jako ostatni starosta ojcowski.

Zamek ojcowski, który w połowie XVII w. był wspaniałą rezydencją Korycińskich, bogata w cios i marmur, dekoracyjne rzeźby i polichromię, z początkiem XIX stulecia począł się chylić do upadku.

Jeszcze w r. 1787 mógł tu być przyjmowany Stanisław August Poniatowski, jeszcze ostatnia lustracja z r. 1789 podaje, że „Zamek stoi na wysokiej górze wymurowany na dwie kondygnacje, z bramą naokoło obmurowaną, z pokojami i kaplicą, ze wszystkim w dobrym stanie, dachem gontowym pokryty. Piwnica pod zamkiem dobrze wykuta w skale. Oficyny wymurowane, z kuchnią, spiżarnią, pod gontami, wygodne i dobre, wozownia murowana. Wieża wysoka o dwóch piętrach na więzienie, do niej drzwi żelazne. Folwark na dole, karczma, młyn i piła, czyli tartak nad Prądnikiem“.

Ale już J. U. Niemcewicz, który zwiedzał zamek ojcowski w r. 1811, zastał go w nieświetnym stanie, a w r. 1824 Klementyna Tańska już tylko wieżę piastowską mogła oglądać w całości, resztę zaś zamku — w ruinie, skoro pisała: „Już nam nie dane zwiedzać pokojów, mówiąc, że i zewnętrzne ściany grożą upadkiem“.

W tych czasach Ojcow z okolicą posiadał pomniejszych zakładów przemysłowych, po których docho-

wały się takie nazwy, jak Papiernia, Prochownia, Hamernia i Szabelnia. W szabelni, jak „Pszczółka Krakowska“ z r. 1820 podaje, kuto białą broń, w prochowni zaś wyrabiano proch strzelniczy. Do tej fabrykacji był potrzebny węgiel drzewny z leszczyny, który mieszano z siarką, i ta produkcja przyczyniła się podobno do wyniszczenia leszczyny, bardzo popularnej dawniej w lasach Ojcowia. W pobliskim Saspowie pokazują jeszcze dzisiaj starą kuźnię, gdzie — jak tradycja niesie — chłopcy w czasie powstania Kościuski kosy na sztorc nabijali.

W spisie wsi Królestwa z r. 1827 Ojcow figuruje jako wieś rządowa, licząca domów 14 i 82 mieszkańców. Stanisław Staszic znajdował tu „przy każdym domu sad pełen drzew owocowych; pastewniki zielone, stebniki porządne, liczne pasące się bydła trzody i wszędzie igrających dzieci gromady“.

Odmienne wrażenie wyniósł stamtąd Antoni Waga, który po raz pierwszy w r. 1829 bawił w Ojcowie wspólnie z prof. Wojciechem Jastrzębowskiem, i później niejednokrotnie dolinę prądnicką w celach naukowych odwiedzał. W dniu 21 lipca 1854 r. był on świadkiem katastrofalnej powodzi, która zniszczyła drogę z Podzamcza do Pieskowej Skały, spłukała glebę ze stromszych stoków i zamuliła dolinę, co nasunęło Wadze smutne refleksje: „...Urodzajom w takich miejscach zawsze zagraża ulewa, cały od razu zasiew zniweczyć mogąca. Byliśmy tych smutnych wypadków naoczni świadkami; pomimo to wszelkie gatunki zbóż sieją się na tych pochyłościach tak wysoko, jak tylko pług przejść może. Płaszczyzny zbyt pochyłe pozostają pastwiskami, na które drapią się owieczki, świnie a nawet krowy. Pomyślniejszy był stan mieszkańców doliny ojcowskiej, póki się w niej utrzymywały zakłady fabryczne. Nawet i ten ruch, jaki dotąd między nimi

spozrzeć można, obudzają jedynie tartaki, papiernia, młyny. Rolnictwo samo nie może tam zakwitnąć: jest ono zatrudnieniem biedaka, skazanego niekiedy na długie niewidzenie kawałka chleba, czego i sami długo naoczni byliśmy świadkami i uczestnikami.“

Szata leśna na stokach doliny była jeszcze w latach 50. ubiegłego stulecia wcale bogata, co przypisać należy ich niedostępności i brakowi drogi umożliwiającej transport drzewa. O tej drodze pisał w r. 1854 Al. Połujański, że „zrazu jest ona nad Prądnikiem dosyć wygodna, później coraz węższa zamienia się w ścieżkę, aż na koniec wskutek ściętniającej się doliny niknie wśród zarośli i gajów.“

Pomimo fatalnej komunikacji zaglądają tu niekiedy podróżnicy i turyści, a wśród nich można by od Naruszewicza i Fr. Karpińskiego (1788) aż do Fryderyka Chopina (1829) i Cypriana Norwida (1842) wyliczyć całą plejadę znakomitych naszych uczonych (St. Staszic, Wilibald Besser), literatów (Franciszek Wężyk, Klementyna Tańska, Deotyma) i malarzy (Zygmunt Vogel, Jan Nepomucen Głowacki, Alfred Schouppé), ciągnących do uroczyska ojcowskiego, jak gdyby solidaryzujących się z wezwaniem Fr. Sal. Dmochowskiego:

*Komu obce kraje znane,*

*Wstydem lice swe zarumień,*

*Jeśliś widział Tybr, Sekwanę.*

*A Prądnika minął strumień.*

*Po co szukać obcych krajów,*

*Alp odwiedzać grzbiec wysoki?*

*Wśród Ojcowia skal i gajów*

*Równie szczytne masz widoki.*

W połowie XIX w. wzrasta napływ wycieczkowiczów i letników do Ojcowia, pomimo zupełnie prymitywnych warunków mieszkaniowych. Szczególnie interesują się Ojcowem nasi uczeni. Prof. Wojciech Jastrzębowski przyprowadził tu „per pedes



apostolorum“ aż 20 razy swoich uczniów z instytutu agronomicznego w Marymoncie, dotrzymuje mu towarzystwa prof. Antoni Waga z Leszna, aby tu prowadzić swoje badania entomologiczne, Władysław Taczanowski studiuje świat ptaków i nietoperzy zamieszkujących tamtejsze jaskinie (1854), Ludwik Zejszner mierzy temperaturę źródeł w dolinie Prądnika, F. Berdau bada florę (1859), K. W. Wójcicki spisuje miejscowe legendy i zwyczaje ludności.

Ze zjeżdżają tu także znakomici polscy malarze, o tym poucza nas notatka, jaką przewodnikowi, Mikołajowi Dalewiczowi, wpisał do książki pamiątkowej Wojciech Gerson w dniu 10 lipca 1878 r.:

„Ponieważ książka dawna, w której się przyjeżdżający do Ojcowia zapisywali, zaginęła, ta zaś sprawiona dopiero lat temu sześć, przeto zapisuję tu wspomnienia przedtrzydziestoletnie i te słowa kilka poświęcam pamięci tych, z którymi tu najstarsze chwile wnosny życia mego w koleżeńskim przebyłem obcowaniu. W r. 1848 zwiedziłem Ojcow po raz pierwszy w lipcu i studia krajobrazowe odbywałem tu z Franciszkiem Kostrzewskim i Marcinem Olszyńskim; w r. 1849 po raz drugi pracę tę artystyczną za krótkim pobytom w towarzystwie Juliana Ceglińskiego prowadzi-



łem, w roku 1850 liczniejsze było grono kolegów: Kostrzewski, Cegliński, Olszyński pod kierunkiem profesora Szkoły Sztuk Pięknych, krajobrazisty Christiana Brezlauera wraz ze mną. Sześć tygodni tu spędziliśmy. Ostatni raz w roku 1852 nowy kolega, Edward Petzold, grono studiujących w Ojcowie krajobrazy powiększył.

Rok 1850 upamiętniony został tym jeszcze w czasie pobytu naszego, iż zjechali tu dyrektor ówczesnych Teatrów Warszawskich Jan Jasiński z dekoratorem Sachettim dla zaopatrzenia teatru w nowe a prawdziwe na miejscu widoki Ojcowia do dekoracji „Wesele w Ojcowie” i dla zaopatrzenia teatru w nowe a prawdziwe ubiory krakowskie na wzór noszonych w Ojcowie. Jednocześnie z Jasińskim i Sachettim zwiedził podówczas Ojców artysta malarz Lesser, który głośno świadczył, że Ojców piękniejszym jest od nieznaney nam Saskiej Szwajcarii — Wojciech Gerson z rodziną“.

Nadeszła wreszcie chwila, gdy pomyślano o uprzystępnieniu Ojcowia dla chorych i potrzebujących odpoczynku. Człowiekiem, który zrobił pierwszy krok w tym kierunku, był dr Lucjan Kowalski. Przeniósł on w r. 1855 swój zakład hydropatyczny do Ojcowia, gdzie zainstalował go początkowo w budynku przeznaczonym

pierwotnie na cukrownię, później zaś w osobnym budynku o 11 oknach frontowych, przebudowanym na kształt wieży, w którym mieściły się kąpiele i mieszkanie dla chorych.

Z rozprawki dra J. Dietla, który gorąco propagował nowopowstające uzdrowisko ojcowskie, dowiadujemy się, jak wyglądało wewnętrzne wyposażenie zakładu dra Kowalskiego: „W gmachu jest 20 mieszkań i 4 łazienki. W środku budynku parterowego stoi murowane ognisko z czterema miedzianymi kotłami, w których wewnątrz węzowo zakrzywione rury służą do wytwarzania pary...” Leczenie zaczyna się parową kąpielą, potem stosuje się natryski, a następnie inhalacje.

Gdy dr Kowalski przeniósł swój zakład do Ojcowia, właścicielem tej miejscowości był Henryk Prendowski. W r. 1859 cały majątek przeszedł w drodze kupna w ręce Aleksandra Przeździeckiego. Nowy właściciel zbudował u stóp zamku hotel „Pod Łokietkiem”, oberżę „Wesele w Ojcowie”, postawił łazienkę nad Prądnikiem i zamierzał odbudować zamek. Przed Ojcowem otwarły się piękne perspektywy rozwoju, gdyż napływ kuracjuszy i letników wzrósł ogromnie.

Ale w r. 1863 wybuchło powstanie, w Ojcowie stanął kwatery Apolinary Kurowski ze swym



## DZIWNA SKRZYNIA

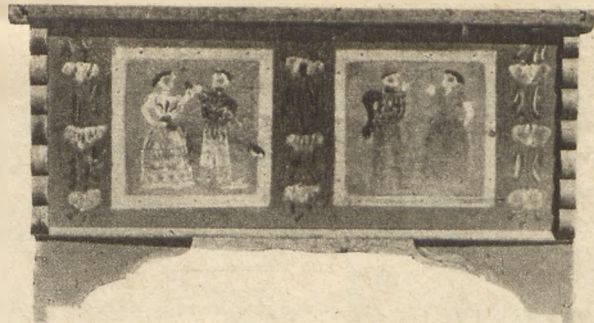
LESZEK DZIĘGIEL

Dziewięćdziesiąt dziewięć lat temu nieznanemu mazurskiemu stolarzowi mozolnie malował na froncie skrzyni te dwie wytworne odziane pary. Skąd zaczerpnął ów oryginalny pomysł? Z obrazka w książce, malowidła na starej szafie lub kredensie czy z rysunku na ludowym kaflu? A może wreszcie z własnej fantazji?

Malowidła niewątpliwie miały przykuć uwagę jarmarcznych klientów, kupujących skrzynie na wiano dla swych córek. Na odrajanym, zniszczonym froncie skrzyni widnieje na pół zatarty nie-

udolny napis — „1857” — rok, w którym bezimienny artysta ludowy wykonał swe dzieło. Nie znamy losów tej niezwyklej skrzyni aż do czasu, gdy w drodze spadku znalazła się w posiadaniu rodziny ubożego chłopca mazurskiego, Locha. Do jego chałupki na skraju wsi Zgniłocha w pow. nidzickim trafiliśmy podczas kolarskiej wędrówki.

Wśród tysięcy malowanych skrzyń ludowych z całej Polski znamy zaledwie kilka ozdobionych wyobrażeniami postaci ludzkich.



↑ Mazury pow. Nidzica — Malowana skrzynia ze Zgniłochy  
Fot. Leszek Dziegiel

oddziałem „Żuawów Śmierci”, złożonym przeważnie z akademickiej młodzieży Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dnia 16 lutego Kurowski opuścił Ojców, prowadząc powstańców na Miechów, gdzie nazajutrz poniósł straszną klęskę. W tym roku burzliwym padły pastwą płomieni i zniszczenia: hotel, oberża, łazienki i kilka domów.

Był to niespodziewany cios, który fatalnie zaważył na dalszych losach Ojcowia.

Po tych wypadkach kupił od Przeździeckiego w r. 1865 Wielką Wieś, Swawolę i Świńczów H. J. Wieliczko, natomiast Oj-

ców, Szklary, Czajowice zostały sprzedane wrocławskiemu kupcom Maurycemu Adlerowi i Samuelowi Staubowi wraz z prawem posiadania realności Prochownia. Z tego kontraktu wyłączone jednak zostały ruiny zamku i lasy ponad skałami Firanki. Wyłączono też grotę Ciemną i Łokietka z grupą drzew ocieniających wejście do nich. Adler i Staubowie zobowiązali się wyrąbywane przez siebie lasy zadrzewiać według zasad gospodarstwa leśnego, warunku tego jednak nie dotrzymani, dewastując zupełnie okolicę. Równocześnie inny przedsiębiorca rozpoczął rabunkową eksploatację namulisk jaskiń Ojcowia i przyległych dolinek.

Tak zakończył się pierwszy okres rozwoju letniska ojcowskiego.

Marian Gotkiewicz

← Ojcowskie lasy

Fot. Tadeusz Przytkowski





Projekt  
DROGI POD RZEKĄ WISŁĄ  
DLA POŁĄCZENIA  
WARSZAWY z PRAGĄ,

*z doborami opisanem i porównaniem opiszem drogi pod rzeką Tarnawą w Londynie. Określamy razem zasady i zasady opiszem drogi podziemnej w naszym kraju, z wyłączeniem ich korzyści iko nagle-piecznych, najtrudniejszych i najłatwiejszych.*

A. IDŹKOWSKIEGO  
ARCHITEKTA, AKADEMII FLORENCYJSKIEJ SZTUK PIĘKNYCH CZŁONKA.

*Kto kandydatem sam przez siebie uważa, ten może przystąpić do wypracowania i opisu tak nowego i ważnego myśli wzniesienia, jak i w naszym kraju. J. K. S. Warszawa.*

W WARSZAWIE,

1828.

BARBARA BAZIŃSKA

W roku 1828 padł w Warszawie niecodzienny projekt. Oto architekt, członek Akademii Florenckiej, nazwiskiem Idźkowski, zaproponował zbudowanie nowej drogi łączącej Pragę z Warszawą. Miała ona być przeznaczona do ruchu kołowego i pieszego, nowoczesnie oświetlona gazem — jakkolwiek wiele ulic warszawskich tonęło wówczas w zupełnych ciemnościach. Projekt zbudowania jeszcze jednej drogi nie stanowił oczywiście rewelacji. Warszawa już w roku 1793 miała 197 ulic — z tego jednak tylko 10 porządných, 50 możliwych a resztę wręcz złych. Stan ten do roku 1828 uległ na pewno poprawie. Stolica w tym czasie posiada więcej ulic, bardziej uporządkowanych i lepiej oświetlonych. Ma też kilka mostów.

Projekt Idźkowskiego stanowił zaskoczenie i niespodziankę dlatego, że zaproponował on zbudowanie drogi podziemnej, biegnącej pod korytem Wisły. Na owe czasy i stosunki podobny pomysł był równie postępowy jak śmiały i stanowił niezwykle zjawisko, żywo komentowane przez ówczesną opinię publiczną.

Przejdźmy do szczegółów. Podwodna droga miała być przekopana w miejscu istniejącego wówczas mostu na wysokości placu i Ogrodu Saskiego (dziś plac Zwycięstwa). Dojście do tunelu zaprojektował Idźkowski szeroko, ponieważ miał on przechodzić głęboko pod Wisłą. Architekt rozważał jednocześnie możliwości rozbudowy komunikacji łączącej środek miasta z bulwarem nadbrzeżnym. W tym celu zaproponował regulację nie uporządkowanego jeszcze wówczas odcinka miasta od kościoła Wzytek po Stare Miasto.

Wzdłuż Wisły miała być zbudowana ulica równoległa do bulwaru, położona nieco wyżej od niego. Miała ona mieć trzy odgałęzienia — zjazdy, w postaci ulic wspinających się pod górę zamkową i wysoki w tym miejscu brzeg doliny Wisły. Jedna z nich przechodząc koło Kanonii łączyłaby brzeg rzeki ze Starym Miastem. Druga, przy jednoczesnym uregulowaniu ulicy Mariensztat, biegła od Wisły do pl. Zamkowego. Trzecia przechodząc koło kościoła Wzytek łączyłaby wybrzeże z placem Saskim. Do podwodnej ulicy schodziłoby się wprost z nadbrzeżnego bulwaru.

Wykop nad Wisłą miał posiadać kształt płaskiego czworokąta o prostokątnym wlocie i wylocie. Otwór miał być jednakowej wielkości na początku i końcu tunelu, szerokiego na 35 stóp, a na 16 stóp wysokiego (1 stopa = 28,8 cm).

W tak pomyślanym tunelu podwodnym, zwanym również „galerią”, jezdnia miała zajmować 22 stopy, a chodniki dla pieszych 6 stóp.

Okres budowy przewidywano na 5 lat. Z tego dwa pierwsze zamierzano poświęcić na gromadzenie materiałów, zwłaszcza bardzo rzadkiego wówczas „cementu rzymskiego”. Przez dalsze dwa lata budowano by sam tunel, ostatni zaś rok przeznaczono na regulację dojazdów i otynkowanie części zewnętrznych tunelu. W najgłębszym miejscu koryta rzeki, na sklepieniu tunelu leżeć miało przynajmniej 8 stóp ziemi, czyli podstawa tunelu znajdowałaby się na głębokości około 54 stóp.

Oto kilka ciekawszych szczegółów dających obraz zamierzonych sposobów realizacji projektów. Idźkowski przy wykonywaniu wykopów chce wykorzystać zmiany koryta Wisły, w ten sposób, że rozpocząłby budowę ze strony mniejszego natężenia prądu rzeki. Dla ochrony budowy i odwodnienia poszczególnych jej odcinków miał powstać wał ochronny z drzewa i ziemi.

Głębokie zejście pod koryto Wisły przed zalaniem miał zabezpieczać gruby mur z cegieł na zaprawie wapienno-cementowej. Sam tunel miał być zbudowany bardzo solidnie. Ściany boczne stanowiłyby mur, sklepienie wspierałoby się na filarach i dodatkowej konstrukcji z ram żelaznych.

Jak miała wyglądać budowa tunelu? W miarę wybierania ziemi z wykopu, od razu stawiać miano obudowę, podtrzymując ziemię dotąd nie ruszaną. Tworzono by ją z drewnianych „pryk”, tj. bali ustawionych ściśle jeden przy drugim, i umocowanych żelaznymi „gwintami”, wspartych o żelazne ramy. Ram tych trzeba byłoby ustawić pionowo około 12 obok siebie. Ustawione w rząd, two-

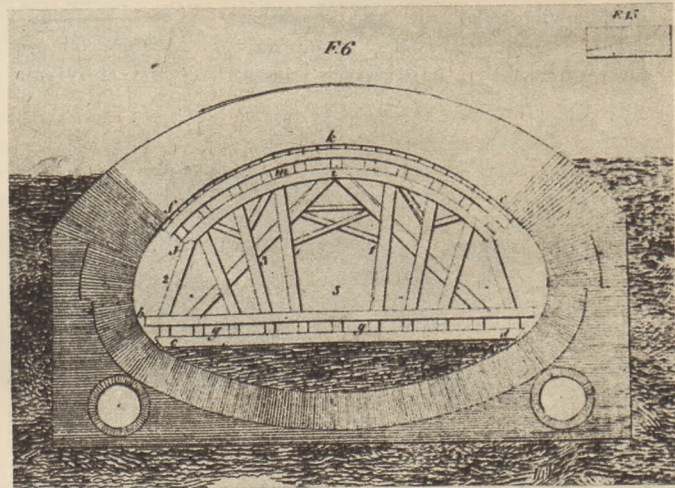
rzyłyby 3 komórki po 8 stóp długości. W każdą z komórek wczolgiwaliby się robotnicy, przy czym we wszystkich komórkach razem mogłoby pracować jednocześnie 36 robotników. Ziemi wydobywano by tylko tyle, ile każdy z pracujących mógł natychmiast wymurować muru zabezpieczającego. Ten system pozwoliłby na prowadzenie na przestrzeni 8 stóp jednocześnie: wykopywania i murowania obu ścian bocznych, podstawy i sklepienia. Wybieraną ziemię wynoszono by koszami, a kopyjący w danej komórce robotnicy drażyłoby nieustannie. W miarę postępów roboty, przesuвано by nieco żelazne ramy, przestawiano drewniane „pryki” — i kopano dalej.

Idźkowski uważał, że zbiór owych

„pryk z bali” i ram żelaznych stanowiłyby dostatecznie silną konstrukcję zabezpieczającą przed osypywaniem się ziemi, wał zaś, mur i cementowy tynk — wystarczającą ochronę przed zalaniem tunelu.

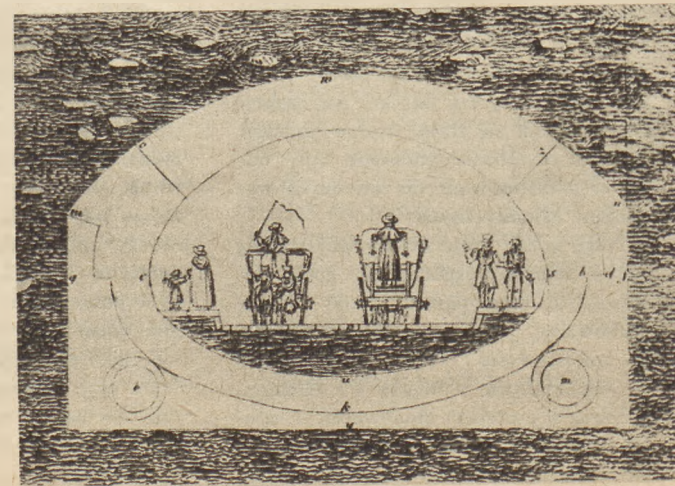
A teraz nieco cyfr. Długość drogi między obydwooma brzegami Wisły planowano na 1530 stóp. Całkowita trasa wraz z trzema zjazdami wynieść miała 2 296 996 stóp. Na realizację budowy zaplanował Idźkowski 18 376 000 szt. cegieł (1000 szt. — 60 zł) i 119 635 korcy cementu (1 korzec 4,5 z). Projekty wynagrodzeń za prace miały szeroką skalę: robotnik za wykopanie 1 stopy ziemi miał otrzymać 90 gr, za wymurowanie 1 stopy ściany — 3 gr, za wyłożenie 1 stopy drogi obciosanym granitem — 2,5 gr. Administrator budowy miał pobierać za dozór nad robotami 60 tysięcy złotych rocznie. Dla orientacji zaś uprzytomnić sobie należy, że cena np. 1 funta chleba pytlowego wynosiła w tym czasie 3,28 gr.

Tak przedstawia się historia projektu, podana w wielkim skrócie. Nigdy go nie realizowano, bynajmniej nie dlatego, że nie wzbudzał zaufania, ale po prostu z powodu „zbyt wygórowanych kosztów”. Oceniając śmiałość i trudności zamierzeń Idźkowskiego, trzeba wziąć pod uwagę, że projekt ogłoszono 128 lat temu.



→ Konstrukcja budowy drogi (przekrój)

Fot. T. Listkiewicz



→ Wygląd wnętrza drogi (przekrój)

Fot. T. Listkiewicz





WYSOKA DROGA  
JAN KRZYSZTOF MALKIEWICZ



Lwówek, woj. wrocławskie  
Mury obronne

Fot. Tadeusz Przykowski

W wiekach średnich i później, aż prawie po czasy pierwszych kolei, nie było chyba na Dolnym Śląsku takich stron życia, które nie łączyłyby się z Wysoką Drogą. Handeł i sztuka, wojna i pokój, zarazy i najnowsze wynalazki — wszystko to wiązało się ze szlakiem, idącym z zachodu, od Lipska czy Drezna, na wschód do Wrocławia, a stąd, innymi drogami, do Krakowa i Lwowa lub na północ do Poznania.

Dzisiaj na tych świętych szosach, gdzie krajobraz zdradza na każdym kroku ludzką działalność, trudno sobie wyobrazić wyboistą drogę wijącą się wśród puszczy, wozy kupieckie zapadające się po osie w błoto, a wreszcie „raubritterów“, zubożałych rycerzy, żyjących z rabunku na takich właśnie szlakach.

Śląska legenda wspomina Krzysztofa Czarnego ze Złotoryi. Rabował na Wysokiej Drodze w pobliżu swego miasta. Ale dziwny to był „raubritter“. Napadniętemu zadawał najpierw szereg pytań. Jeśli okazało się, że podróżny jest uczonym, mógł ruszyć w dalszą drogę nietknięty. Widzimy więc, że już w średniowieczu nauka bardzo była ceniona.

Wzdłuż Wysokiej Drogi wcześniej rozwijały się osady handlowe, by w XIII wieku przekształcić się w miasta. Wnet też zaczęły powstawać komory celne, przynoszące na tym życiodajnym szlaku niezłe dochody — księciu, miastom i klasztorom.

Kupiec podróżując z zachodu, od Lipska, dojeżdżał do Nysy Łużyckiej i przed przeprawą popasał w Zgorzelcu. Miasto powstało na skrzyżowaniu Wysokiej Drogi ze szlakiem wiodącym z Czech i jest tak stare, że wykopuje się tu monety rzymskie i arabskie. Znałe było w Polsce długo sukno gierlickie — stąd właśnie wiezione. Jadący Wysoką Drogą na na-

Jedziemy znakomitą szosą dolno-śląską ze Zgorzelca do Legnicy — wyżyną o bardzo urozmaiconym krajobrazie. Wstęga szosy ładnie wciną się między zalesione wzgórza, które ku południowi narastają, by przejść w niespokojne pasma Gór Izerskich i Kaczawskich. Gdzieś tam skrzę się w słońcu kamieniołomy bazaltowe. Nie zdajemy sobie sprawy, że jesteśmy na jednym z najstarszych i najważniejszych szlaków handlowych środkowej Europy. To Wysoka Droga.



stępny popas stawał w Lubaniu. Tu nasz szlak dzielił się na dwie odnogi, łączące się znów dopiero w Legnicy. Zaczynamy tę podróż po piastowskim Śląsku od starszej — południowej.

Nie dojechawszy jeszcze do Lwówka, płacił kupiec cło za wiozienie towaru w Kunicach. Nie zwalniało go to, oczywiście, od powtórnego cła w samym Lwówku, do którego wjeżdżał przez Bramę Lubańską.

Prawo miejskie otrzymała ta osada od Henryka Brodatego. Już z początkiem XIII wieku powstaje

tu kościół parafialny — do dziś częściowo romański od zachodu, z wysokiej klasy tympanonem wczesnogotyckim w zachodnim portalu. Tu, według tradycji, grał na organach Jan Sebastian Bach. Środek lwóweckiego rynku zajmuje jeden z najpiękniejszych ratuszów śląskich. Narastał przez wieki. Nie trudno wyróżnić część gotycką, choć najlepszy poziom wykazują partie renesansowe o formach zarówno typowo śląskich, jak też i włoskich.

Z Lwówka pochodził Jan Gerasim, wójt Sądu Najwyższego Prawa Magdeburgskiego w Krakowie, gdzie na murach kościoła N. Panny Maryi można znaleźć jego nagrobek.

Ale jedźmy dalej do równie starej jak Lwówek Złotoryi. Tu chyba najlepiej wczuć się można w atmosferę Wysokiej Drogi. Wystarczy wyjść na wieżę kościelną i z wysokiej galerijki oglądać miasto, by czytać jak na dłoni jego urbanistykę — tak typową i przejrzystą, że bez głębszych dociekań można odtworzyć sobie w zarysie historię miasta. Powstało ono na miejscu, gdzie od dawna kopano złotoryjne piaski. Stąd to właśnie polscy górnicy, mieszkający w pobliskich Kopaczach, brali udział w legnickiej bitwie z Tatarami.

Wcześniej osada targowa skupiała się wokół placu — późniejszego rynku. W 1211 roku staje się miastem na prawie magdeburgskim. Kościół N. Panny Maryi, z którego wieży oglądamy miasto, wciąż jest jeszcze niezupełnie wyjaśnioną zagadką dla historyków sztuki. Na przedłużeniu romańskiego prezbiterium stoi późniejsza wieża, bardzo rzadko w tym

miejscu budowana. Trzy nawy gotyckiego korpusu hallowe (równej wysokości — w sumie — „najpiękniejsze wnętrza kościelne, średniowieczne na Śląsku“.

Do dziś w niezłym stanie zachowały się mury miejskie. Ale nie zawsze mury i bramy były skuteczną obroną. W czasie wojny trzydziestoletniej miasto Wysokiej Drogi przeżywało ciężkie chwile. Na przykład w październiku 1633 roku generał Wallenstein stanął z wojskiem u bram Złotoryi, wyrażając chęć zatrzymania się w mieście na popas południowy. Rada miejska wysłała posłów, których jednak żołnierze cesarscy obdarli z szat i wlekli na postronkach za końmi. Widząc to z murów, mieszczanie zamknęli bramy i podnieśli mosty, nie by odeprzeć napastników, ale żeby przynajmniej zdobyć czas na ucieczkę. Ale bramy wnet wyważono, a żołnierze, uważając miasto za wzięte szturmem, rozpoczęli bezlitosny rabunek. Plądrowali już dwa dni i noc, a ciągle nadchodziły nowe oddziały, chciwe łupów. A że znajdowali puste szkatuły, więc poczęli znęcać się nad mieszkańcami miasta. Współczesny kronikarz daje nam krew w żyłach mroźnych opis męczarni tak wymyślnych, że trudno je tu przytaczać. Wreszcie po kilku dniach wojsko ruszyło w dalszy pochód, uwożąc bogate łupy i dziewczęta przywiązane do koni. W drodze złupili Grodziec i pociągnęli na Lubań.

Nie tylko wojny zresztą dziesiątkowały ludzi na tym szlaku. W niewiele lat później te same tereny spustoszyła zaraza. W Legnicy, liczącej 8600 osób, zmarło w obrębie murów 2027 ludzi, a w najbliższej okolicy liczba ofiar sięgnęła czterech tysięcy.

## RAUBRITTERZY



Teraz nas nikt nie poznał

Rys. J. Smólski





← Wrocław — Głowa Henryka IV Prawego

Fot. Tadeusz Przytkowski

↓ Lwówek, woj. wrocławskie — Ratusz

Fot. Jan Krzysztof Malkiewicz

↓ Lwówek, woj. wrocławskie — Kościół

Fot. Jan Krzysztof Malkiewicz

Tutaj schodziły się oba ramiona Wysokiej Drogi. Pierwsza wzmianka o komorze celnej w tym mieście pochodzi z XIV wieku, choć grodem kasztelańskim było ono już w 1202 r. Cła nie pobierano tylko przez 8 dni w roku, w czasie jarmarku na św. Bartłomieja. Cłem zresztą książęta handlowali. Jeden z mieszczan legnickich kupił sobie np. prawo pobierania cła od pieszych — „o ile nie niosą ze sobą towarów“.

Długo można spacerować po tym mieście, a oko wciąż wyławia nowe obiekty warte obejrzenia i spacer staje się lekcją pogłębioną historią, w szczególności historii sztuki.

Stara romańska Legnica była tak rozległa, że po zupełnym niemal zniszczeniu przez Tatarów, odbudowano ją na dawnym polskim planie. Najazd Tatarów wytrzymał tylko zamek, do dziś górujący nad miastem mimo wielokrotnej przebudowy, siedziba ostatniej gałęzi Piastów. Ich mauzoleum znajdziemy przy kościele św. Jana. Są tu nie tylko cynowe trumny, ale i galeria posągów piastowskich, dłuta Macieja Rauchmüllera, a także bardzo udane freski ze scenami z historii Polski piastowskiej.



Żeby zrozumieć znaczenie osiemnastowiecznej Legnicy, zwanej drugą stolicą Śląska, wystarczy po wyjściu z tego kościoła rozejrzeć się wokół. Do świątyni przytyka czteroskrzydłowe kolegium jezuitów. Naprzeciw cały blok zajmuje wspaniała Akademia Rycerska, a zaraz obok stoi dom Klasztoru Lubińskiego — jeden z najpiękniejszych pałaców barokowych na Śląsku. O kilka minut drogi dalej, w rynku, zdobione sgraffitem, renesansowe kamieniczki oraz dom burmistrza Ambrożego Bitschena, straconego na rynku za przewożenie patrycjuszom legnickim w buncie przeciwko księciu. Zwiedzenie gotyckiego kościoła N. Panny Marii i jego otoczenia to znowu lekcja historii. Na przykład, dlaczego pod prezbiterium jest przejazd? Kościół przytykał kiedyś do murów i nie chciano likwidować biegnącej wzdłuż nich uliczki.

Z Legnicy szlak biegł już prosto przez Środę Śląską do Wrocławia. Ciekawiej będzie wracać na Zachód północną odnogą Wysokiej Drogi.

Gdybyśmy odbywali tędy podróż w XIV wieku pieszo, to komora celna w Chojnowie nie ściągnęłaby z nas opłat. Książę bowiem, biorąc pod uwagę upadek ekonomiczny po pożarze Chojnowa, zakazuje pobierania cła od ludzi pieszych, nawet jeśli niosą lub wiozą na ręcznych wózkach jakieś towary. Chojnów nigdy nie wyszedł z roli drugorzędnej miasta i do XIX w. mieścił się w obrębie murów średniowiecznych, z którego została do dziś tylko

Baszta Tkaczy. Tutejszy zamek — to w średniowieczu przejazdowa kwatery księcia. Najcenniejszym zabytkiem miasta jest gotycki kościół parafialny — typowa śląska bazylika.

Ale jedźmy dalej, wydostawszy się z miasta bramą Bolesławicką, bo najbliższy większy postój — to Bolesławiec. I tu jak w Złotorzy szukano kiedyś złota. Pierwotny gród kasztelański wznosił się chyba na lewym brzegu Bobru. Ale zamek Bolka I Świdnickiego stał już na prawym. Tu też wymierzono nową osadę miejską, dalej od rzeki, ale za to przy źródłach świetnej wody, co decydowało później o powodzeniu tutejszego piwa. Okolice Bolesławca tak gęsto zamieszkiwali Polacy, że w XIII w. 36 miejscowości nosiło nazwy czysto polskie, jak np. leżący przy Wysokiej Drodze Nowogrodziec.

Miasto to stało się z czasem własnością zakonu pierwszych w Polsce magdalenek. Pozostał po nich olbrzymi komplet zabudowań obronnych, co nie dziwi nas o tyle, że samo miasto nigdy murów obronnych nie miało.

Z Nowogrodzka bliska już droga wzdłuż Kwisy do Lubania, skąd zaczęliśmy podróż po południowej odnodze Wysokiej Drogi.

Barwne życie Wysokiej Drogi pozostawiło więc — jak widzimy — na tym starym szlaku szereg zabytków sztuki na najwyższym środkowo-europejskim poziomie. Po dziś dzień stanowią one dumę i ozdobę Dolnego Śląska.

Jan Krzysztof Malkiewicz





Gwara podhalańska w „Kościele w Chochołowie“ \*)

Zawarte w tytule słowa „gwara podhalańska“ powinny być właściwie wzięte z cudzysłowów. Bo to tylko ma być gwara podhalańska i właśnie to, że Dobraczyński, nie znając tej gwary i — jak widać z wyników — nie zasięgając pomocy ani opinii żadnego jej znawcy, szeroko zastosował jakąś jej namiastkę w swojej książce, uważam za wielką i przynoszącą mu ujmę lekomyślność.

Byłoby nieporozumieniem żądać od literata pedantycznego i obejmującego wszystkie szczegóły autentyzmu językowego. Wiadomo, że operowanie gwara czy językiem czasów dawno minionych w utworze artystycznym jest (i musi być) tylko pewną stylizacją języka, którą się osiąga przez wprowadzenie pewnej liczby charakterystycznych elementów ludowości czy dawności i przez eliminację z języka książki wszystkiego, co by z tą dawnością czy ludowością stało w rażącej sprzeczności. Ale i eliminacja musi być staranna, i dobór elementów, które mają nadać językowi książki właściwy koloryt, trafny: muszą one być naprawdę charakterystyczne i zgodne z rzeczywistością; wszelkie błędy, jakieś np. przeniesienie wyrazu czy składni, które się narodziły dopiero w czasach oświecenia, w okres piastowski, czy włożenie gwary wielkopolskiej w usta chłopca spod Krakowa, o ile wykraczają poza zupełnie rzadkie i mało istotne drobiazgi, odejmują książce wartość artystyczną i czynią ją szkodliwą kulturalnie.

Jakże więc sobie poradził z gwara Sidziny i Chochołowa Dobraczyński? — Trzeba powiedzieć: źle. Podchwycił wprawdzie szczęśliwie jedną formę gramatyczną: 1. osobę czasu przeszłego na -ek, np. *godotek*, *zrobitek*, i kilkanaście podhalańskich wyrazów, jak *plony*, *habryka*, *syćka*, *faleśny*, *wereda*, *skorusa*, ale poza tym okazał całkowitą dezorientację i bezradność. Wielu wyrazom sfałszował brzmienie, pisząc np. *Sidzina*, *zandar*, *straf*, *spasować*, *południe*, *droga*, *złobcoki* zamiast *Sidzyna*, *ziandar*, *śtraf*, *śpasować*, *poednie*, *druga*, *złubcoki*. Pomiął mnóstwo zupełnie łatwych, a bardzo charakterystycznych wyrazów i form, które szczególnie mogły być przydatne do nadania mowie księdza Wojciecha i jego chłopskiego otoczenia kolorytu lokalnego, jak: *wte*, *kie*, *przynapity*, *wse*, *lo* i *locego*, gdy u niego stałe nie istniejące na Podhalu i bezbarwne: *wtedy*, *kiedy*, *pijany*, *zawse*, *dlo*, *dlocego*, jak dalej *matura* (zdolności),

*wiedzieć* (umieć), *odprawiaczka* (msza), *stuchanica* (konfesjonał)... Z fonetyki, wprowadziwszy, i słusznie, tzw. *a* pochylone (*dobro dziewczyna*, *powiados*), pominął równie typowe *e* pochylone, tzn. wymowę *grzych*, *wiys*, *chlyb*, i niemniej charakterystyczne stałe przechodzenie *ch* na końcu wyrazów, a czasami i w środku w *k*, np. *niek*, *dak*, *u nasyk bab*, *kwila*, *pokwalony*. Z drugiej strony tu i ówdzie wmięszał w gwara zwroty tak nieludowe, jak *obrzydliwy grzech* (s. 32) czy *pragnę mieć* (63). — Ale nie to jeszcze najbardziej obciąża Dobraczyńskiego jako autora powieści podhalańskiej. Gorzej, że wprowadził do swojej książki mnóstwo form i wyrazów zdecydowanie błędnych albo w ogóle niemożliwych w żadnej czy prawie żadnej gwarze, albo i owszem gwarowych, ale Podhalu czy przynajmniej jego zachodniej części zupełnie obcych. Oto przykłady kategorii pierwszej: *a* pochylone w mianowniku rzeczowników żeńskich po spółgłosce twardej: *psiaparo* (116), *matko* (177) i w zwrocie *ni mo* (62) w znaczeniu „nie jest“, wymowa *rz* jak *z*: *ugwazać* (81), *ukozyć się* (116), *typ we Sidziny* (123), *we syćkim* (123), *we sądzie* (228), dalej *corne bruśnice* (128), *mocarny* (129) w młodopolskim znaczeniu „bardzo mocny“, gdy na Podhalu to znaczy „błotnisty“ (od *mocharu*); zdaje się, że można tu także zaliczyć *bizie* (panieńskie dzieci, 72, 212) i formę dokonaną *ospowiadać się*. A z drugiej kategorii — wymowa *sa* jako *so* (229), co bywa w dialektach pn.-polskich, ale nigdy na Podhalu, gdzie tylko *som*, mazowieckie *prosilim* (232), *obora* w środkowopolskim znaczeniu budynku dla bydła (261; na Podhalu to „podwórze“), *sklep* w pn.-polskim znaczeniu piwnicy (47), wsch.-podhalańskie *grule* (66, 166, 169), gdy zachód Podhala oznacza ziemniaki tylko wyrazem *rzepa*, *tluczka* (209) i *bijak* (215) w maślnicy zamiast podhalańskiej *toporki*, kresowy, polsko-ukraiński, *paroch* (185). Nawet trzeciej części tych błędów by wystarczyło, żeby nadać książce piętno zawstydzającej nonszalancji i pod względem języka uczynić ją kulturalnie szkodliwą.

Niejednym z czytelników pomyśli, że przesadzam. Skoro „Kościół w Chochołowie“ jest książką skądinąd wartościową i mającą dużo literackiego uroku, a tak jest niewątpliwie, to może by można autorowi darować, że jej gwara „nie bardzo“ mu się udała. Zwłaszcza, że ktoś się tam na tych gwarach zna? Większości czytelników nawet taki zlepek podhalańskich, niepodhalańskich i urojonych cech gwarowych da wrażenie dobrej stylizacji i nikt z nich nie odmówi autorowi wiary, że ta wzruszająca książka daje także w

zakresie języka to, co autor zamierzył: szkicowo potraktowaną, ale wierną rzeczywistości gwara zachodnio-podhalańską.

Otóż po to właśnie piszę ten artykuł, aby udowodnić, że taka pobłażliwość byłaby niesłuszna. Szanującemu się autorowi, jeżeli chce przedstawiać rzeczywistość, nie wolno jej fałszować, a jeżeliby mu to miało uchodzić dlatego, że wielu ludzi się na danej dziedzinie nie zna, to mówiłoby to bardzo źle o jego i naszych ambicjach kulturalnych. Cóż byśmy powiedzieli, gdyby umieścił swój Chochołów bezpośrednio pod Nowym Targiem, a swoim góralom (niech szanowny autor daruje ten żart!) kazał chodzić w krakowskich spodniach w białe i różowe pasy? Przecież pierwszego błędu nie zauważyłoby nawet wielu Polaków, a drugiego przynajmniej część czytelników zagranicznych, gdyby książka z takim absurdem została przetłumaczona na obce języki! Czyżby to jednak te błędy usprawiedliwiało? A doprawdy *mocarny* (jako potężny), *paroch* czy *prosilim* w ustach podhalańskiego górala są absurdem niemińszym!

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Żyjemy przecież w okresie wielkiego rozwoju czytelnictwa. Można być pewnym, że książki tak poczytnego pisarza jak Dobraczyński trafiają czy trafią wkrótce do rąk czytelników z Sidziny, Chochołowa, Poronina. I co wówczas? — Jeszcze na wiele lat przed wojną jakiś Ślązak przeczytawszy śląskie opowiadania Kossak-Szczuckiej pt. „Wielcy i mali“ orzekł, że trzeba mieć *lagramenczką opowagę* (sakramencki tupet), żeby nie znając gwary tak ją sobie lekką ręką do utworu wprowadzić. Jest to fakt autentyczny. Można się obawiać, że książka Dobraczyńskiego spotka się na Podhalu z podobnym wyrazem dezaprobaty i zgorzzenia.

Zofia Stamirowska

\*) Jan Dobraczyński, Kościół w Chochołowie, Warszawa, Pax, 1955.

W OBRONIE FORTYFIKACJI

W ostatnim numerze „Ochrony Zabytków“ (1/2, 1956) ukazał się ciekawy artykuł A. Gruszeckiego O *uznaniu prawa zabytku dla fortyfikacji nowożytnej*. Autor zwraca w nim uwagę na postępujące zniszczenie zabytków fortyfikacji pochodzących z okresu od XVI do XIX wieku.

Przykładów dewastacji można przytoczyć wiele. Wyliczę tutaj tylko takie, które będą uzupełnieniem wymienionych przez autora. Renesansowe fortyfikacje Krzyżtopora ulegają systematycznemu niszczeniu, traktowane przez okolicznych chłopów jako kamieniołom. W Dankowie w barbarski sposób przekopano skosem obwarowania, niszcząc przy tym także bark jednego z bastionów. Na terenie Nowej Huty bezmyślnie rozgrzebuje się wał ziemny za kościołem św. Bartłomieja. Wał ten jest prawdopodobnie pozostałością z oblężenia Krakowa przez Maksymiliana, a więc rzadkim zabytkiem fortyfikacji polowej z XVI wieku. Zniszczono również bez zastanowienia osiemnastowieczne szańce na Podgórzu podczas budowy stadionu na Krzemionkach.

Jeszcze gorszy jest los zabytków z wieku XIX. Na tychże Krzemionkach zagrożone są zniszczeniem szańce zatoczone na południowym krańcu wzgórza. Prawdopodobnie zawierają one w swym zrębie obóz wojsk polskich założony przez ks. Józefa Poniałowskiego. Szańce te, wzmocnione i rozbudowane później przez Austriaków, dały początek twierdzy Krzemionki.

Jaka jest przyczyna takiej sytuacji? Odpowiedź daje autor krótką: przede wszystkim nieświadomość znaczenia niszczonych obiektów. Brak ludzi, którzy by znali zagadnienie, brak opracowań naukowych, brak popularyzacji. W innych krajach historia fortyfikacji jest przedmiotem badań, tematem wielu dzieł naukowych, u nas napisano o niej kilka zaledwie artykułów i broszur. Zaczyna się stawić na tym polu dopiero pierwsze kroki. Tu zaliczyć trzeba kilka wydawnictw MON traktujących między innymi i o fortyfikacji. Przedmiot historii fortyfikacji znalazł się już w programach katedr historii architektury w Warszawie, Wrocławiu i Gdańsku. Należy tu dodać, że i w Krakowie w katedrze urbanistyki od dwu lat wprowadzono ten przedmiot.

Popularyzacja tych zagadnień jest sprawą dość pilną, aby wartość zabytków fortyfikacyjnych była mierzona latami ich istnienia i znaczeniem historycznym, a nie ilością cegieł jakie można uzyskać przy rozbiórce.

Z. Bogdanowski

Autora „odpowiedzi na ankietę Wierchów“ prosimy uprzejmie o porozumienie się z redakcją. Artykuł zamieścimy chętnie.



# PROBLEM NIEDZICKIEJ LEGENDY

Anna Kowalska Lewicka

**H**istoria, którą zamierzam się tu zająć, bynajmniej nie jest nowością. Wielokrotnie była omawiana na łamach różnych czasopism, które zresztą z niewielkimi zmianami powtarzały wersję podaną przez Jalu Kurka już w r. 1947<sup>1</sup>. Co więcej, historia tzw. „testamentu Inkasów” przedostała się z czasem do literatury fachowej, powtórzył ją bowiem w swej monografii Pienin Smólski<sup>2</sup>. Nie zajął on co prawda żadnego stanowiska, przedrukowawszy tylko artykuł dziennikarski; niemniej niedzickie quipu zyskało niejako obywatelstwo w świecie naukowym.

Odkrycie dokonane przez Andrzeja Benesa narobiło w prasie wiele hałasu. Jest to najzupełniej zrozumiałe. Dziwić się tylko należy, że nikt poważniej się tym nie zajął — nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, o ile wypadki, o których tylokrotnie pisano, są prawdziwe.

A gdyby były prawdziwe, gdyby istotnie mury niedzickiego zamku kryły w sobie epilog wydarzeń, których pierwszy akt stanowi odkrycie przez Pizarra imperium Inków, sprawa mogłaby nabrać szerokiego rozgłosu, stać się sensacją w międzynarodowym świecie naukowym. Do dziś bowiem ostatnie rozdziały powstań indiańskich z XVIII w. nie są jeszcze dla badaczy amerykanistów dostatecznie wyjaśnione, wciąż jeszcze stanowią białe karty w historii Ameryki Południowej.

Ci, którzy pisali o sprawie niedzickiego quipu, ulegali jej urokowi. Pociągał ich romantyzm postaci i ich życie, egzotyczne tło, słowem — dali się ponieść fantazji. My z kolei spróbujmy spojrzeć na nią trzeźwo, zabawmy się trochę w historyków, trochę w detektywów.

Wszyscy zapewne pamiętają tę historię, tym bardziej że została ona niedawno szczegółowo omówiona w dwu kolejnych numerach „Dookoła Świata”<sup>3</sup>. Dla przypomnienia podam ją jednak bodaj w najogólniejszych zarysach:

W roku 1946 pojawia się „na arenie dziejowej” młody człowiek, nazwiskiem Andrzej Benesz. Odnajduje on w tymże roku w kościele św. Krzyża w Krakowie dokument z r. 1797 zawierający dane o losie ostatniego członka dynastii Inków oraz o miejscu ukrycia quipu — pisma węzłowego, które z kolei ma wskazać miejsce ukrycia legendarnego skarbcza Inków. W oparciu o ten dokument Benesz twierdzi, że on właśnie jest w prostej linii potomkiem Inków, a ukryty skarb, o którym mówi quipu, stanowi jego dziedzictwo. Uzyskuje pozwolenie od wojewódzkich władz konserwatorskich na czynienie poszukiwań<sup>4</sup>, wyjeżdża w towarzystwie żony i przyjaciół do Niedzicy i tam z miejsca, o którym mowa w dokumencie, wydobywa istotnie pęk rze-

mieni powiązanych w węzły, zamknięty w rurze ołowianej. Odkrycia dokonuje w obecności licznych świadków spośród miejscowej ludności. Sprawozdanie z poszukiwań przesyła do biura konserwatorskiego i na tym właśnie urywa się bieg wypadków.

Po upływie roku dopiero ukazuje się w prasie pierwszy na ten temat wspomniany już artykuł Jalu Kurka. Treść powtarzają wtedy inne dzienniki. Z czasem przestaje się o tym mówić, aż dopiero ponownie sprawę wyciąga na światło dzienne Giełżyński na łamach „Dookoła Świata”.

Zaczęliśmy niejako od końca, od znalezienia dokumentu i quipu — ale jak doszło do ich ukrycia i jakie były wydarzenia, które je spowodowały? Tu jedynymi źródłami są ów dokument z kościoła św. Krzyża i opowiadanie Andrzeja Benesa oparte — jak twierdzi — na tradycji ustnej, która przechowała się w jego rodzinie.

Z dokumentu możemy wywnioskować co następuje: W r. 1797 istnieje jakiś Sebastian Berzeviczy,

który ma bratanek Waclawa, podpisującego się: Waclaw Benesz de Berzeviczy Baro de Dondangen. Waclaw jest żonaty, ale bezdzietny. Sebastian miał córkę, imieniem Umina, która w chwili spisania dokumentu już nie żyje, a pochowana jest pod basztą kapliczną w zamku niedzickim (Waclaw zobowiązuje się wyrzeć jej epitafium). Umina jest matką jednorocznego chłopca nazywanego w dokumencie Antonio Inkas, którego — jak się dowiadujemy — ścigają jacyś prześladowcy. O ojcu Antonia nie ma w dokumencie ani słowa. Możemy się tylko domyślać, że ojczyzną Antonia jest któryś z krajów Ameryki Południowej (prawdopodobnie Peru lub Boliwia), bo mowa o drugim dokumencie spisanym w języku keczua oraz o wydaniu dziecka na żądanie Rady Inków. Wreszcie nazwisko czy przydomek Antonia „Inkas” wskazuje na indiańskie pochodzenie.

Sam dokument dotyczy głównie faktu adopcji Antonia przez Waclawa, który zobowiązuje się nadać mu swoje nazwisko, wychować, wydać na każde żądanie Sebastiana lub

„Prześwietnej Rady Inków”<sup>5</sup>, jeśli by jednak ci się po dziecko nie zgłosili, po dośnięciu do pełnoletności Waclaw ma mu wszystko o jego pochodzeniu powiedzieć, „testament” oddać i do „ojczyzny” zawieźć dla „testamentu odczytania a spadku uzyskania”.

Drugą ważną sprawą poruszoną w dokumencie jest ów „testament”, który Waclaw zobowiązuje się osobiście ukryć „pod ostatnim stopniem pierwszej bramy górnego zamku” w Niedzicy. Ma też wyjawić w przyszłości Antoniovi „tajemnicę Testamentu Inkasów jako z trzech wieków i części złożonego... Pierwszej od Inkasa Tupaka Amaru w Titicaca, dalej za sprawą Jego Pradziada pod Vigo zatopionej i ultimo przez Prześwietną Radę Emisaryuszy Inków złożonych tu nie użytych sum”. O formie tego testamentu dowiadu-

*Autorka artykułu jest etnografem — wybitnym znawcą amerykanistyki. W latach 1947—48 brała udział w wyprawie naukowej do Ameryki Południowej. Na zdjęciu: autorka w wiosce Indian Shipibo nad Yarina Cocheb w Peru.*



## PRZYPISY:

<sup>1</sup> Jalu Kurek — *Krew Atahualpy nad Dunajcem*. „Dziennik Polski” Nr III, 216. 10. VIII. 1947. Pierwsza wzmianka dziennikarska dotycząca tego zagadnienia pochodzi z r. 1946 („Echo Krakowa”) i ukazała się po znalezieniu dokumentu w kościele św. Krzyża, a jeszcze przed wydobyciem quipu.

<sup>2</sup> Stanisław Smólski — *Pieniny. Przyroda i człowiek*. Kraków 1955, wyd. Polska Akademia Nauk, Zakład Ochrony Przyrody. O „skarbie Inkasów” mowa tam na s. 163—166.

<sup>3</sup> Wojciech Giełżyński — *Tajemnica skarbu Sapey-Inków*. „Dookoła Świata”, nr 51—52 (103—4), rok II. 25. XII. 1955. s. 17—19, oraz nr 1 (105), rok III. 1. I. 1956, s. 18—19.

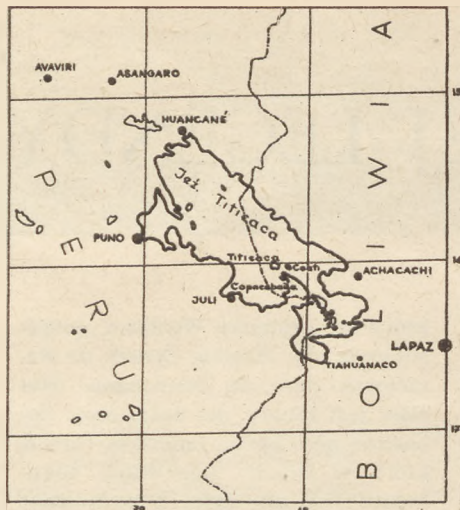
<sup>4</sup> Pozwolenie wydane przez konserwatora zabytków woj. krakowskiego, z dnia 4. VI. 1946, L.K.S. I-1-59/46.

<sup>5</sup> Wszystkie cytaty z aktu adoptacyjnego zamknięte cudzysłowami podaję w piśmowni odpisu uwierzytelnionego przez ks. Mytkowicza.

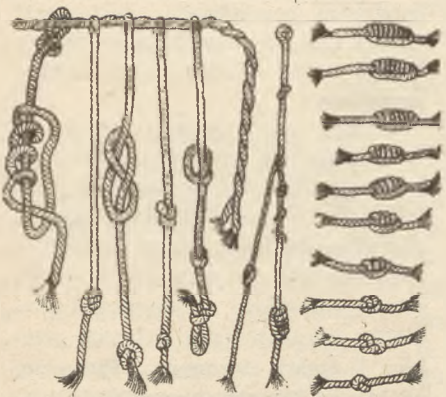
← Niedzica — fragment zamku

Fot. Tadeusz Chrzanowski





Quipu — metoda wiązania węzłów. Po stronie prawej szereg węzłów przedstawia poszczególne cyfry. Dwa najniższe odpowiadają liczbie 1, następnie liczbom od 2 do 9, wg L. L. Locke, „The Ancient quipu or Peruvian knot record”, New York, 1923, fig. 1, s. 13.



jemy się tylko tyle, że dla jego odczytania Antonio musi udać się do swej ojczyzny — a więc pisany jest w języku lub sposobem niemożliwym do odczytania namiejscu.

Ponadto dokument dotyczy samego zamku niedzickiego, który w danej chwili jest w posiadaniu „Panów Horwathów Paloczayów”, lecz ci pożyczili jakiegoś bliżej nie określone sumy od Berzeviczych i w zamian „przrzekli” oddać zamek. Waclaw zobowiązuje się wobec Sebastiana, który zamierza gdzieś wyjechać („na czas absencji Strya mego Sebastiana”), dopilnować odebrania zamku oraz zapisać go małemu Antoniowi „na azyl bezpieczny a akademiję uciekinierom z Jego ziemi i rodu”.

Spisywanie rzeczonożego dokumentu odbywało się dnia 21 czerwca 1797 roku na zamku w Niedzicy, przy czym oprócz obu Berzeviczych obecni byli członkowie jakiegoś „Prześwietnej Rady Emisaryuszy Inków”. Tyle dowiadujemy się z samego dokumentu. Wszystkie inne informacje pochodzą już bezpośrednio z ust Andrzeja Benesza.

Opowiada on<sup>6</sup>, że jego przodek Sebastian Berzeviczy (ur. 1698) w niewiadomych okolicznościach udał się do Ameryki Południowej, gdzie ożenił się z Indianką. Ta dała mu jedyną córkę, Uminę. Sebastian utrzymywał bliskie stosunki z Indianami, brał udział w ich powstaniach, jakie miały miejsce z końcem XVIII w. (w momencie wybuchu powstania, czyli w r. 1779, liczył 81 lat) i wydał swą córkę za mąż za bratanka słynnego przywódcy powstań, Tupaca Amaru. Mąż Uminy nosi to samo miano co jego stryj. Roli, jaką młody Tupac odegrał w powstaniach, tradycja rodzinna Beneszów nie jest pewna. Są natomiast wiadomości o udziale Sebastiana w oblężeniu Cuzco i o ucieczce jego wraz z córką i zięciem jeszcze w czasie trwania powstania, co ponoć rodzina indiańska miała im wielce za złe. Dość na tym, że Se-

bastian z rodziną odnajduje się we Włoszech. Tupac Amaru — zięć Sebastiana, po śmierci stryja swego, Tupaca Amaru-wodza, staje się jedynym następcą tronu. We Włoszech przychodzi na świat jego syn Antonio i tamże on sam ginie, zaszytletowany.

Po śmierci zięcia Sebastian zabiera córkę i wnuka, i postanawia ich ukryć w zamku niedzickim. Zamek ten, jakkolwiek kiedyś zbudowany przez Berzeviczych, od 327 lat nie jest już w ich posiadaniu. Sebastian pragnie go odkupić od ówczesnych właścicieli, Paloczayów, wpłacił im nawet pewne sumy — o czym mowa w dokumencie. (Z jakichś powodów Waclaw Berzeviczy, który zobowiązał się sprawy dopilnować, zamku nie odebrał, przez co pozostał on nadal własnością Paloczayów).

Po przyjeździe do Niedzicy ginie, również zaszytletowana, Umina i zostaje pochowana w srebrnej trumnie pod basztą kapliczną. Sebastian oddaje wnuka pod opiekę swemu bratankowi, Waclawowi, a sam przez czas jakiś kręci się jeszcze po okolicy, po czym, ciężko ranny w pojedynku, jaki odbył się w sieni kasztelu frydmańskiego, przewieziony do Krakowa do klasztoru oo. augustianów, umiera z ran. Co najciekawsze, że jak głosi tradycja rodzinna, stary Sebastian pojedynkował się o dziewczynę — a miał wtedy ni mniej, ni więcej tylko 99 lat (1698—1797).

Antonio tymczasem wyrósł pod opieką stryja w jego majątku na Morawach i, jak nie trudno zgadnąć, nikt się po niego nie zgłosił. Z czasem ożenił się i miał syna Ernesta, który jest już dziadkiem Andrzeja Benesza. Ernest Benesz był inżynierem, osiadł w Małopolsce i pochowany jest w Wieliczce. On to podobno interesował się jeszcze swym indiańskim pochodzeniem. Niestety zmarł, zanim Andrzej Benesz doszedł do wieku, kiedy mógł się czegoś od niego na ten temat dowiedzieć. Syn Ernesta, Jan Benesz — ojciec Andrzeja, egzotyczną historią swej rodziny zgoła się nie interesował i niewiele o niej wiedział.

Jeszcze przed ostatnią wojną zjawiają się w domu Benesza w Bochni jakieś tajemnicze osobistości, które gotowe są zakupić prawo do spadku. Ale ojciec Andrzeja, za jego namową, nie zgadza się. Andrzej sam postanawia odnaleźć klucz do skarbów i zaczyna poszukiwania. Tymczasem studiuje prawo i ubocznie paleografię. Dopiero w r. 1946 znajduje w kościele św. Krzyża dokument,

o którym była mowa wyżej, na jego podstawie odnajduje quipu w Niedzicy, które natychmiast wysłał do Ameryki Południowej. Za pośrednictwem Watykańskiego Instytutu Heraldycznego zdołał nawiązać tymczasem kontakt z indiańsko-amerykańską rodziną i oni mają mu pomóc w odczytaniu quipu<sup>7</sup>.

Na tym kończą się wiadomości zaczerpnięte z dokumentu adoptacyjnego i opowiadań Andrzeja Benesza.

**D**la nas najbardziej pasjonujący będzie przede wszystkim problem autentyczności całej tej egzotycznej historii — nazwijmy ją legendą niedzicką. Pracę naszą musimy rozpocząć od analizy źródeł — a źródłami tymi mogą być dla nas: a) dokument adoptacyjny, b) quipu niedzickie, c) relacje świadków, d) możemy ponadto prześledzić prawdopodobieństwo całej sprawy od strony historii, a więc: historii powstań indiańskich, rodziny Berzeviczych i ewentualnie historii zamku niedzickiego.

a) Dokument adoptacyjny został znaleziony przez Andrzeja Benesza w kościele św. Krzyża w Krakowie. Archiwum kościelne nie posiada inwentarza, czyli że poza samym dokumentem nie mamy żadnego obiektywnego dowodu, że tam istotnie od dawna się znajdował. Jedyny świadek znalezienia, czyli proboszcz, ks. dr Andrzej Mytkowicz, nie żyje. Oryginał dokumentu, wypożyczony tylko celem dokonania odpisu, do archiwum kościelnego nie wrócił i nikt z żyjących a kompetentnych osób, poza Andrzejem Beneszem, go nie widział. Odpis sporządził bowiem nieżyjący już dziś ojciec Andrzeja, a uwierzył go również zmarły tymczasem proboszcz, ks. Mytkowicz. Wszyscy inni, a więc np. piszący o całej sprawie Jalu Kurek czy władze konserwatorskie, widzieli tylko uwierzytelniony odpis. Jest rzeczą niepojętą dlaczego Benesz, który bynajmniej nie ukrywa treści aktu adoptacyjnego, zgadza się na jego wielokrotne publikowanie, oddaje do rąk władz i dziennikarzy, nikomu nie chcąc pokazać oryginału. Przecież historyk mógłby wiele wywnioskować z analizy samego papieru, na którym dokument spisano, z jego znaków wodnych i faktury. Również na podstawie charakteru pisma dałoby się niejedno powiedzieć. Językoznawcę niewątpliwie zainteresowałaby pisownia dokumentu. Odpis bowiem zrobiony jest niefachowo i jakkolwiek w wielu miejscach zachowana została ortografia archaiczna, w wielu innych unowocześniono ją i przekształcono na zupełnie współczesną. Dopiero więc analiza oryginału mogłaby nam coś powiedzieć o jego autentyczności.

Nie mogąc niczego wywnioskować z wyglądu zewnętrznego i pisowni dokumentu, spróbujmy wziąć, ot tak na wrywki, słowa i zwroty w nim użyte i sprawdzić je według słownika Lindego<sup>8</sup>. Otóż np. słów takich, jak: emisariusz („...Prześwietnej Rady Emisaryuszy Inków...”), koncesja („...uczynione mi koncesye...”), uciekinier („...na azyl.. uciekinierom...”) w słowniku Lindego, który powstał w połowie XIX w., jeszcze nie ma. Natomiast zwrot: o krwie („...o krwie

i pochodzeniu Jego...”) słownik Lindego notuje po raz ostatni w użyciu w r. 1551, a więc dwa i pół wieku wcześniej niż spisywanie dokumentu. Nie jestem językoznawcą, mogę więc tylko przytoczyć to, co mówi słownik, sama wstrzymując się od głosu.

Obok imienia Antonia, w miejscu nazwiska występuje miano „Inkas” — i to kilkakrotnie: „Antonia Inkasa”, „Antoniowi Inkasowi” itd. W języku keczua, a za nim w hiszpańskim mówi się i pisze w liczbie pojedynczej Inca (czyt. Inka), hiszpańska zaś liczba mnoga brzmi „los Incas” (czyt. los Inkas), co znaczy Inkowie. Innymi słowy, zamiast Antonio Inka w dokumencie jest Antonio Inkas, czyli w polskim tłumaczeniu Inkowie. Dlaczego? Przecież obecny przy spisywaniu dokumentu Sebastian i Rada Inków musieli wiedzieć, że Inkas jest formą liczby mnogiej, jakże więc mogli dopuścić do błędu w dokumencie takiej wagi, i to jeszcze tam, gdzie chodzi o nazwisko czy przydomek głównej postaci. Ten sam błąd powtarza się, gdy mowa o „Testamencie Inkasów”, „od Inkasa Tupaka Amaru”, natomiast „Rada Emisaryuszy Inków” (a nie Inkasów!) użyta jest już poprawnie.

W samej treści aktu adoptacji są również pewne zastanawiające szczegóły. Ciekawe jest np., dlaczego na tak ważnym dokumencie widnieje jedynie podpis Waclawa, świadkowie natomiast są tylko wymienieni, i to nawet nie z imienia, przynajmniej jeśli chodzi o „Prześwietną Radę Emisaryuszy Inków”. Zagadkowy wydaje mi się również wykaz spadku, jaki ma dziedziczyć Antonio. Składa się on z części „w Titikaka” (chodzi o znany z legend i literatury powieściowej domniemany skarbiec Inków), z sum „złożonych tu”; czyli przy spisywaniu aktu, które nie budzą zastrzeżeń, wreszcie z części „...za sprawą jego pradziada pod Wigo zatopionej...”. Przypuśćmy że istotnie flota srebrna, rozbita przez Anglików w r. 1702 pod Vigo, wiozła m. in. odkrytą wtedy właśnie przez Hiszpanów część skarbcia Inków i że fakt wypłynięcia tej floty z portów amerykańskich zdradzili Holendrom, działającym wspólnie z Anglikami, jacyś Indianie — jak to twierdzi rodzinna tradycja ustna Beneszów. Jeśli nawet tak było, faktem niezaprzeczalnym jest, że w chwili spisywania omawianego dokumentu wszyscy wiedzieli, że zatopione okręty ze skarbami spoczywają na dnie morza na głębokości paruset metrów. Jeśli do dziś dnia, przy obecnych możliwościach technicznych (łódzie podwodne, skafandry głębinowe, możliwość wykrywania przedmiotów na dużych głębokościach za pomocą echosona itd.), mimo licznych prób, skarbów wciąż jeszcze nie udało się wydobyć — czyż wówczas wymienianie ich jako jednej z części spadku Antonia nie zakrawało na złośliwość, na naigrawanie się z biednego dzieciaka?

Można by jeszcze dalej analizować nasz dokument, ale czas przejść do następnego punktu.

b) Drugim dowodem autentyczności naszej legendy mogłoby stać się niedzickie quipu<sup>9</sup>, ale niestety



\* Fakty, jakie poniżej podaję, opowiedział mi Andrzej Benesz w rozmowie w dniu 15. III. 1954 roku.

† Na protokole z wydobycia quipu w Niedzicy, spisany własnoręcznie przez Andrzeja Benesza dn. 31. VII. 1946, podpisanym przez świadków, a złożonym w Wojewódzkim Urzędzie Konserwatorskim 19. VIII. 1946 (o czym świadczy data wpływu do archiwum wojewódzkiego), widnieje również ręką Benesza skreślony dopisek: „Uwaga: (Bochnia 2/VIII 1946)... Testament, w ciągu 24 godzin od jego wydobycia został w Krakowie wręczony upelnomocnionym przedstawicielom z Ameryki Południowej. (Celem jego zabezpieczenia i odczytania)“ podpis: „Andrzej Benesz Inkas“.

§ S. B. Linde — Słownik języka polskiego. Wyd. II, Lwów 1854—1860.

¶ Quipu, w języku keczua „khipo“, pismo węzłowe, jest rodzajem znaków mnemotechnicznych używanych przez Indian w rejonie centralnym Andów. Najbardziej rozwinięte było ono w imperium Inków. Dziś jeszcze quipu jest używane przez niektóre szczepy Peru i Boliwii dla notowania ilości zwierząt w trzodzie, rocznego przychowku i strat, itd. Quipu współczesne jest znacznie uproszczone w stosunku do dawnego.

Quipu Inków znane jest dzięki bardzo licznym egzemplarzom znalezionym w grobach na pustynnych wybrzeżach Pacyfiku i opisom kronikarzy. Wielu dawnych uczonych sądziło, że jest to rodzaj alfabetu, Locke jednak w swym fundamentalnym dziele wykazał, że są to tylko znaki ilościowe (węzły) i jakościowe (kolory sznurów), nie do odczytania bez tekstu ustnego, który towarzyszył każdemu quipu.

Wszystkie znane dotąd quipu to sznury wełniane lub bawełniane pokryte systemem węzłów. Quipu Inków składa się z jednego sznura głównego, do którego są przytwierdzone 1—100 zwisających sznurów ok. 1/3 m długich. Węzły na zwisających sznurach są albo pojedyncze, albo skomplikowane (patrz ilustracja) i przedstawiają cyfry od 1 do 9 (system decymalny), przy czym zależnie od odległości od głównego sznura mają one wartość jednostek, dziesiątek, setek itd. (wyznaczenie wartości przez pozycję).

Kolory sznurów oznaczały jakości. Według kronik hiszpańskich kolor biały przedstawia srebro, złoty złoto, czerwony wojowników i wojnę, czarny czas w sensie nocy, które mijają itd.

Porównaj: L. L. Locke — *The Ancient quipu or Peruvian knot record*, New York 1923, oraz W. C. Bennett — *Mnemonic and recording devices*. Handbook of S. A. Indians, vol. 5. Washington 1949.

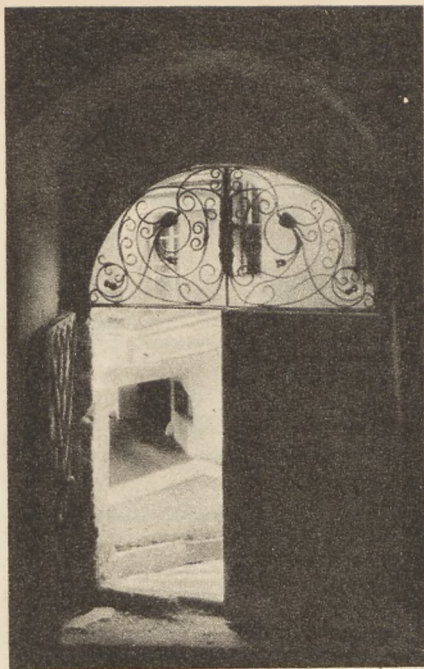
Nauka stwierdziła, że quipu jest środkiem pomocniczym w rejestrowaniu cyfr i jakości, i niczym poza tym. Ażeby więc mały Antonio mógł się nim posłużyć przy odzyskaniu spadku, musiałoby być uzupełnione obszernym ustnym komentarzem.

¶ Musimy pamiętać, że od wiosny 1945 zamek był splądrowany i zupełnie opuszczony. Kto tylko miał po temu ochotę, mógł tam chodzić o każdej porze dnia i nocy.

¶ Inka to tytuł nadawany władcy imperium, jakie przed przybyciem Hiszpanów zajmowało olbrzymie obszary Andów i wybrzeży Pacyfiku od granic dzisiejszej Kolumbii na północy po Chile i Argentynę na południu. Inkami nazywani byli również potomkowie Inki-władcy, którzy stanowili główną podporę tronu. Wielki organizator Pachacuti Inca Yupanqui (koronacja w r. 1438 — wg Balboa) uważał niewielką stosunkowo grupę Inków krwi za nie wystarczający instrument administracyjny dla wciąż rosnącego w drodze podbojów imperium. Rozciągnął więc przywilej nazywania się Inkami na wszystkich mieszkańców imperium, którzy mówili językiem keczua jako ojczystym, mogli więc być użyteczni w jego programie kulturalnej i językowej unifikacji dominiów.

i ono jest niedostępne. Jeśli wierzyć dopiskowi na protokole (por. uwaga 7), niezwłocznie po wydobyciu zostało przesłane do Ameryki Południowej. Może potem stamtąd wróciło, niemniej nikt poza Andrzejem Beneszem i świadkami odkrycia nie widział ani samego quipu, ani nawet jego fotografii. Z protokołu i opowiadania Andrzeja Benesza wiemy, że były to wąskie paski skóry, że na jednym głównym zwisały trzy pęki rzemieni. Pierwszy, średniej wielkości, zaopatrzony był w złote blaszki z napisem: „Vigo“; drugi, środkowy i najkrótszy, miał blaszki z napisem: „Dunajecz“ (= Dunajec, zamek niedzicki); trzeci, najdłuższy, nosił na blaszce czy blaszkach napis: „Titicaca.“ Napis Dunajecz wskazuje, że quipu odnosi się również do sum złożonych w Niedzicy, czyli że w całości zostało powiązane na miejscu, zapewne przez przedstawicieli Rady Inków. Na rzemieniach są węzły, co kilka z nich, jeden większy jakby dzielił całość na części. Blaszki zrobione są z 13-karatowego złota. Napisy: Vigo, Dunajecz i Titicaca wyrobione są w złocie w sposób nieudolny.

Jak już wspominałem, nikt autorytatywny, poza Andrzejem Beneszem, quipu tego nie widział. Trudno bowiem uważać za znawców pisma węzłowego niedzickich gospodarzy czy żołnierzy WOP. Jest zastanawiające, że węzły w tym wypadku wiązane były na rzemieniach. Locke mówi tylko o znakach węzłowych na sznurach wełnianych i bawełnianych, nie wymieniając ani jednego quipu wiązane na rzemieniach. Skóra sta-



↑ Niedzica — wejście na górny zamek

Fot. Tadeusz Przytkowski



↑ Indianin liczący za pomocą liczydła i quipu. (Wg Felipe Guaman Poma de Ayala — „Nueva corónica y buen gobierno“).

← Ujęcie Tupaca Amaru I, ostatniego samodzielnego władcy z rodu Inków, r. 1571. (rysunek z ilustrowanego dzieła „Nueva corónica y buen gobierno“ pióra kronikarza hiszpańskiego Felipe Guaman Poma de Ayala).

↓ Niedzica — fragment zamku

Fot. Tadeusz Chrzanowski



(np. architekt-konserwator, który mógłby autorytatywnie zaświadczyć, czy próg nie był ruszony). Według protokołu spisanego przez Benesza, a złożonego w Wojewódzkim Urzędzie Konserwatorskim, całe prace poszukiwawcze, poczynając od usunięcia kamiennego stopnia, a skończywszy na wydobyciu quipu, trwały 20 minut, a więc znaleziono je bez większego zachodu. Nie było tam nikogo na chłodno obserwującego przebieg wypadków — jak to stwierdziłam w rozmowach ze świadkami — wszyscy w podnieceniu oczekiwali odkrycia skarbów i nikomu do głowy nie przyszło krytyczne kontrolowanie przebiegu poszukiwań. Gdyby więc quipu okazało się autentyczne, co dopiero stwierdzić można po jego udostępnieniu — nawet wtedy mogło znaleźć się w zamku niedawno. Pamiętajmy, że Niemcy posiadali nieraz wcale ciekawe kolekcje starożytności amerykańskich, których wiele znalazło się w r. 1945 na Śląsku, w samym zaś Szczecinie było bogato zaopatrzone muzeum etnograficzne i prywatne zbiory wybitnego etnologa niemieckiego Buschana — i tam właśnie, jak mi mówiono, jeszcze w r. 1946 „walały się po podłogach rozszebrowanego muzeum różne eksponaty, a także pęki quipu“. Mógł je brać, kto chciał.

c) Przy znalezieniu dokumentu w kościele św. Krzyża nikogo z osób dziś żyjących, prócz Benesza, nie było. Poszukiwania niedzickie odbywały się w obecności licznych świadków, wśród których brakło osób krytycznych i fachowych. Znamy stare przysłowie: „Iżę jak naoczny świadek“. Wystarczy zapytać prawników, ile miewają kłopotów z ustaleniem prawdy na podstawie zeznań naocznych świadków, a w dodatku żaden z obecnych ani nie znał się na rzeczy, ani nie było jego zadaniem obserwowanie wypadków na chłodno. Nie ma też świadków oddawania quipu „upelnomocnionym przedstawicielom z Ameryki Południowej“. Słowem, jedynym świadkiem tych wszystkich wydarzeń, którego można brać pod uwagę, jest Andrzej Benesz.

d) Przypuśćmy, że wszystkie dokumenty są prawdziwe, a wszystkie wydarzenia opowiedane przez Andrzeja Benesza, poczynając od wyjazdu Sebastiana do Peru, działały się naprawdę — i postarajmy się poszukać ich śladów w historii. Zaczniemy od powstań indiańskich.

Po zglądzeniu dwu władców Huaskara i Atahualpy Hiszpanie mianują po kolei kilku Inków<sup>11</sup>: Toparkę, Manko i Paulu. Po abdykacji Paulu na rzecz króla Hiszpanii, jego młodszy brat Tupac Amaru przejmuje władzę w ręce i rozpoczyna walkę z Hiszpanami. Po raz ostatni wtedy czerwona opaska, oznaka władzy królewskiej, wieńczy czoło prawdziwego Inki. Po długich bojach Tupac Amaru dostaje się w ręce Hiszpanów i w r. 1571 zostaje stracony na placu centralnym w Cuzco. Dla Indian jego imię staje się symbolem walki o wolność.

(Dokończenie artykułu w następnym numerze)



nowi mało podatny materiał, nie nadający się do splatania nieraz nader skomplikowanych wiązań. Poza tym trudno ją barwić, a przecież różnobarwność dużą tu odgrywała rolę. Wszystkie okazy quipu, znajdujące się w Muzeum Archeologicznym w Krakowie, wiązane są również na sznurze, a nie na rzemieniu.

Pozostaje wreszcie pytanie, czy nawet jeśli to tajemnicze quipu jest autentyczne, istotnie spoczywało pod progiem bramy górnego zamku od XVIII w.<sup>10</sup> Na to pytanie można by dać całkowicie pewną odpowiedź tylko wtedy, gdyby przy jego wydobyciu obecny był ktoś fachowy, a w sprawie tej nie zainteresowany



# OKRĄGŁE ZAMKI NA POMORZU ZACHODNIM

Janusz Bogdanowski

**P**łaski wierzchołek wzgórza pokrywa zwarty gąszcz drzew i krzewów. Trudno się przez nie przedrzeć. Skrajem płaszczyzny biegnie wał, nogi grzęzną w gruzie i piasku. Wśród usypiska wystają miejscami fragmenty muru z kolorowych granitowych otczaków, grubo spojonych wapnem.

O 5 metrów niżej, u stóp tego sztucznie usypanego wzgórza widać ślady fos, zalewanych niegdyś przez wody pobliskiej Iny. Dalej otwiera się widok na niezwykle malowniczą dolinę tej rzeki.

Zwaliska gruzu i zawartość zarośli utrudniały mi obejście ruin, przeschukałem je jednak bardzo dokładnie. Nie odnalazłem śladów żadnej baszty w kolistym obrębie murów. Zamek Krępcewo jest jednym z trzech znanych mi na Pomorzu zachodnich okrągłych zamków słowiańskich.

Historia ich powstania jest bardzo ciekawa.

Chaty czy namioty skupione wokół okrągłego placu — to najpierwotniejsza z zorganizowanych form osadniczych, a przy tym najbardziej naturalna. Plac skupia życie osady, tu znajduje się wspólna woda w postaci źródła, studni czy stawu, zagroda dla bydła, a nawet pastwisko. Zalety kolistej osady powiększa założenie umocnień. Uzyskujemy wtedy doskonałą warownię o największej powierzchni przy najmniejszym obwodzie do obrony.

Kiedy powstały pierwsze takie osady — nie wiadomo. W każdym razie bardzo dawno i zapewne w związku z ustrojem rodowym. Forma ta doskonaliła się w ciągu wieków, uzyskuje coraz to lepsze urządzenia warowne i staje się na pewien czas nierozłącznym elementem wszelkiego rodzaju osad obronnych. Przypuszcza się, że okrągłe osiedla nie są wytworem jakiegoś ludu czy rasy, ale określonych stosunków społeczno - gospodarczych. Spotykamy je bowiem na całym niemal świecie: u Indian brazylijskich, Murzynów afrykańskich, a w Europie: w Szwecji, w Niemczech wschodnich, w Polsce.

Już w końcu XIX wieku zwrócono uwagę, że szczególnie duże skupiska takich osad znajdują się na terenie zachodniej Słowiańszczyzny, na wschód i zachód od Odry. W tym też czasie uznano, że jest to charakterystyczna forma osadnicza słowiańska dla końca 1 i początku 2 tysiąclecia naszej ery. Utarła się nawet nazwa dla słowiańskiego okrągłego osiedla — „okólnica“.

Bardzo częste były okólnice na Pomorzu zachodnim i w Meklemburgii. Jak powstało to skupisko? Miejscowa ludność słowiańska, przeciwstawiając się idącemu od zachodu naporowi niemieckiemu, zmuszona była do umacniania każdej osady, a okólnica była wtedy najlepszą twierdzą. Grody budowano na tej samej zasadzie. W zwykłej osadzie obrońcami byli jej mieszkańcy, a umocnienia stanowiły tylko zasieki, żywopłoty czy palisady. Gród był lepiej zbudowany i posiadał stałą zawodową załogę.

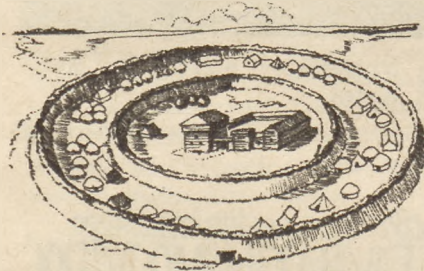
Wygląd grodów znany jest z wykopalisk i opisów. Obwarowania były drewniane w postaci ogromnych skrzyń, wysokich na kilkanaście metrów i napełnionych piaskiem lub układanych na krzyż warstw bierwion przekładanych ziemią. Takimi właśnie sławnymi grodami były na przykład Gdańsk czy legendarna Arkona. Umocnienia drewniane osiągnęły na Pomorzu wielką doskonałość. Jeden z niemieckich kronikarzy uczestniczący w najeździe na tę ziemię stwierdza, że drewniane grody słowiańskie są trudniejsze do zdobycia niż zachodnio-europejskie murowane zamki.

Drewniane wały posiadały jednak zasadniczą wadę: można je było spaląć.

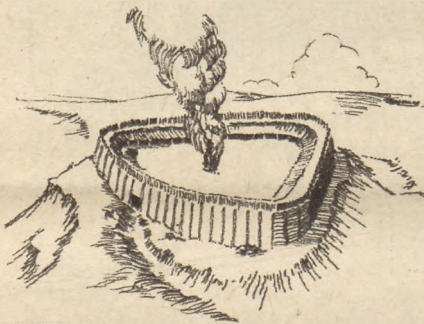
W związku z tym obserwujemy na ziemiach słowiańskich w XII i XIII wieku ciekawe zjawisko zastępowania drewnianych umocnień murami. Trzeba jednak zaznaczyć, że system obrony pozostał ten sam. Z dawna wypróbowana kolistą twierdzą nie uległa zmianie, zmieniono tylko ma-



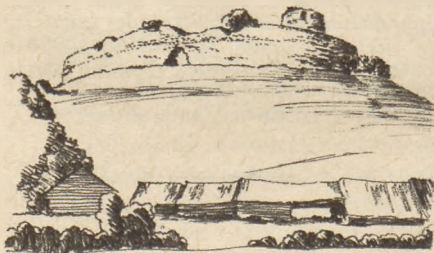
Rekonstrukcja osiedla tzw. kultury trypolskiej



Pierścienie awarskie (wg Ilustrowanej Historii Średniowiecznej K. J. Nitmana)



Strażniczy gród w Kleszczowie nad Odrą wg rekonstrukcji W. Hensla



Zamek w Isborsku



Tak miała wyglądać Arkona (wg Z. Rajewskiego)

teriał. Łącząc polne nie obrobione granity z grubymi warstwami zaprawy, uzyskano mury przypominające swą wytrzymałością beton. Grodów takich powstało jednak niewiele.

Oprócz opisanych już ruin w Krępcewie w pow. pyrzyckim znam jeszcze grody w Moryniu (pow. Chojna) i w Lipiu (pow. Białogard).

Grodzisko moryńskie leży na półwyspie dużego jeziora, niecały kilometr na północ od miasteczka Moryń.

Ruiny są bardzo podobne do poprzednich. I tutaj resztki murów znalazłem na stromym wzgórzu, w gęstwinie drzew i krzewów. Gród ten był większy, a wysokość zachowanego na znacznych odcinkach muru dochodzi do 5 metrów. Sposób budowy murów ten sam. I w tym zamku brak również śladów baszt...

Rycerz Otto v. Barmenstede z Askańczykami zajął gród w roku 1265. Kolonizatorzy niemieccy uważać go musieli za dobrą twierdzą, skoro dopiero około roku 1384 margrabia Otto der Faule zbudował tu tylko „nowy dom“.

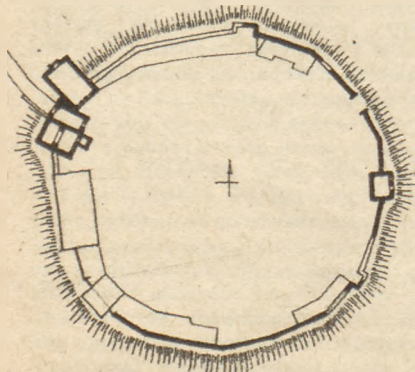
Na „górze zamkowej“ nad rzeką Mogilicą, obok wsi Lipie, znajdują się resztki trzeciego grodu kolistego. W końcu ubiegłego stulecia pod trzymetrowym nasypem ziemi i gruzu natrafiono tutaj na kamienne mury legendarnego grodu słowiańskiego, zwanego w dokumentach „Tarnus“. Dziś mogłem już zwiedzić tylko zarosłe kolistą wzgórze.

Niewątpliwie takich grodów musiało być kiedyś więcej, lecz żeby odnaleźć ich resztki, trzeba by kopać i szukać ich murów pod ziemią, tak jak w grodzie Tarnus.

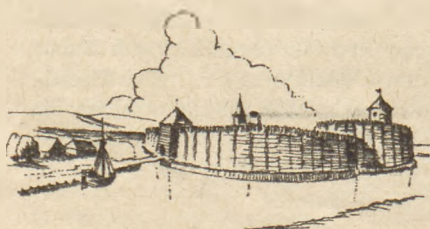
Zasięg występowania warowni okrągłych wykracza poza Pomorze zachodnie. Na przykład w Meklemburgii we wsi Wredenhagen istnieje ruina „Novum Castrum Wenedhen“ (Nowego Grodu Wenedów), a na terenie dawnych Inflant w Estońskiej SRR istnieją do dziś ruiny okrągłej warowni Isborsk.

Dlaczego jednak typ ten nie rozwinął się silniej na naszych ziemiach? Odpowiedź na to pytanie jest krótka: ponieważ nie mógł sprostać wymogom ówczesnej techniki wojennej.

Nowy typ fortyfikacji, lepszy od okrągłej, wydoskonalił się zapewne w Azji. Już w starożytnym Chorezmie spotykamy zdumiewający postępowością swego systemu typ warowni prostokątnej z regularnie rozmie-

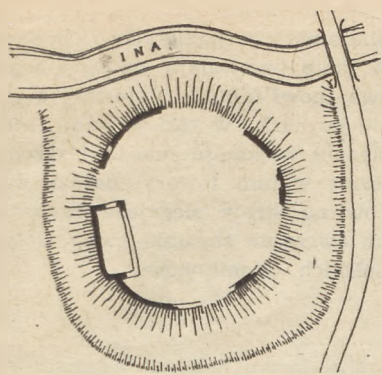


Zamek Wredenhagen w Meklemburgii



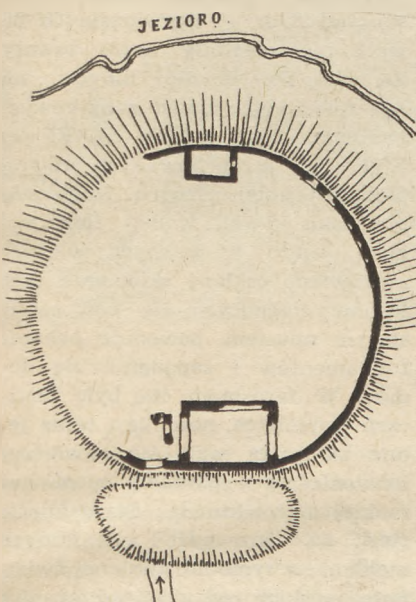
Gród w Gdańsku od strony Motławy (wg Konrada Jażdżewskiego)





↑ Plan zamku w Krępcowie nad Iną w pow. pyrzyckim (pomiar autora)

↓ Okrągły zamek w Moryniu pow. chojecki



szczytami półbasztami flankującymi. W braku urządzeń umożliwiających rażenie z boku podchodzącego pod mury przeciwnika tkwi właśnie przyczyna upadku kolistego grodu. Tak więc gród okrągły miał tylko możliwości obrony czołowej, brakło mu obrony flankowej. Próbowano nawet temu zaradzić budując w kolistości biegnących murach wysunięte półbaszty lub baszty (na przykład w zamku w Czersku), okazało się to jednak niepraktyczne.

Wzór prostokątnego zamku z flankującymi półbasztami, przywieziony do Europy ze wschodu w czasie wypraw krzyżowych, szybko zapanował na zachodzie, a i u nas zyskał przewagę nad okrągłymi zamkami. Słowiańskie okólnicowe zamki mrowane, zanim zdążyły przyjąć się u nas powszechniej w XII i XIII wieku, już musiały ustąpić miejsca gotowym wschodnim i zachodnio-europejskim wzorom, dostosowanym do nowej techniki prowadzenia wojen.

Dlatego murowane okrągłe zamki są u nas wielką rzadkością. Jako wytwór słowiańskiej architektury wojennej zasługują na specjalną uwagę. Należałoby je koniecznie wziąć pod szczególną opiekę, aby w dalszym ciągu nie były tylko „kamieniołami”. Zamki okrągłe budowano również i na południu naszego kraju, ale dopiero staranne poszukiwania okazać mogą ich zasięg.

J. Bogdanowski

Tzw. wykładka, metalowa ochrona zamku ul. Sieradzkiej 28 w Koniecpolu

## GDZIE HISTORIA MILCZY — TAM MÓWI LEGENDA

Ludzie lubią czasem oderwać się od dnia codziennego i gdy ich większe zbierze się grono, radzi snuć stare opowieści. Weźmy np. szpitalce — osobiście często się z tym spotykałem. Gdy tylko wieczór zapadał, zawsze znalazł się ktoś, kto niby od niechcienia poruszył temat baśniowy, natychmiast rozwijała się żywa rozmowa i opowieściom nie było końca.

Nie ma bodaj starej miejscowości, do której nie byłaby przywiązana jakaś baśń czy legenda. Wiele z nich znalazło oddźwięk w literaturze jako wątek powieściowy lub też tylko bajkowy, ale większość, choć w starych księgach notowana — idzie w zapomnienie. A przecież w tych legendach kryje się często przeszłość, której historik z braku dokumentów odtworzyć nie może. Tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie pozostała do dziś żywą i kto wie, może jakąś lukę w historii wypełnia.

W każdym razie baśń ludowa to bynajmniej nie twór zmyślony, całkowicie wyczarowany fantazją. Przechodząc z ust do ust ulegała przekształceniu, zależnie od inwencji opowiadającego, ale „w każdej bajce jest na dnie ziarno prawdy”.

Jest rzeczą ciekawą, że większość baśni i legend wyraża zawsze przekonanie o konieczności kary za zbrodnie, wiarę w sprawiedliwość. Szuka się w nich mściciela za krzywdy wyrządzone ogółowi, rzadziej — jednostkom. Spotykamy tam wielkich i możnych przestępców, tyranów pastwiących się nad ludem, a wykonawcą sprawiedliwości bywa, jeżeli nie jakaś nadprzyrodzona siła — to zawsze prosty, szary człowiek. To przecież ma swą wymowę.

Mniej więcej przed pół wiekiem dość dużo ludzi, przeważnie nauczycieli, skrzętnie zbierało opowieści z życia i fantazji ludu wysnute. Wydano w tym okresie sporo publikacji na ten temat, kontentując się jednak zazwyczaj tylko samym zanotowaniem krążącej w danej okolicy wersji. Notowano — jakby to można powiedzieć — tylko fakty.

W Poznańskim np. prawie każdy

powiat miał swego zbieracza legend. Dziś są to rzeczy zapomniane, nikomu prawie nie znane. Podobnie jak w Wielkopolsce tak i w innych przecież częściach naszego kraju każda niemal stara miejscowość kryje w sobie jakąś legendę. Czy nie warto by pomyśleć o wydobywaniu tych baśni na światło dzienne i odczytaniu ich na nowo?

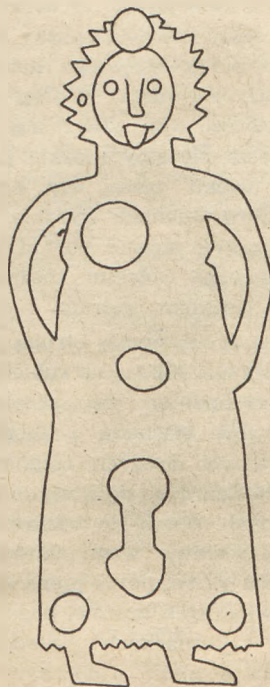
Ziemia mazurska ma mnóstwo ciekawych baśni i legend, z którymi naprawdę warto zapoznać społeczeństwo. Niemcy wykorzystywali chętnie opowieści ludowe, komentując je na swój sposób. Weźmy dla przykładu historię „diabła z Pasymia”. Opracowano ją w taki sposób, aby wzmacniała w Mazurach poczucie niemieckości i ostrzegła przed Polakami. Diabeł z Pasymia w niemieckim ujęciu — to nie kto inny, tylko Polak, który wiecznie zakłócał „ład i porządek”, buntował biedotę wiejską i miejską przeciw „sprawiedliwej” władzy krzyżackiej. On otworzył bramy miasta wojskom polskim, on powiódł Pasymian na Olsztyn i Zalewo. On ukarał despotę krzyżackiego, który mimo zagwarantowania mieszkańcom swobody łowienia ryb w jeziorze pasymskim, odebrał im ten przywilej. On też podburzał chłopstwo okoliczne przeciw panom.

W dziedzinie popularyzacji legend mazurskich dziś się już coś niecoś robi. Wiadomo, że „Czytelnik” zamierza wydać w najbliższym czasie zbiorek baśni mazurskich. Dobrze byłoby jednak, aby ci, którzy przybywają zwiedzać tę ziemię, interesowali się nie tylko bogactwem jej zabytków, ale także poznawali opowieści, do dziś żywe wśród ludu.

Franciszek Myśliński

### W KONIECPOLU

przy ulicy Sieradzkiej stoi stary drewniany dom, opatrzony tabliczką z numerem 28. Wyglądem zewnętrznym nie wyróżnia się on spośród otoczenia, a jednak nie jest to dom zwykły. Jeśli wierzyć tradycji miej-



scowej, to tu sam Napoleon Bonaparte spędził kiedyś noc całą na marzeniach o podbitym carstwie. Jeśli wierzyć... Bo i gdzież nie nocowali słynni wędrowcy po Europie. Gdyby zliczyć godziny żywota cesarza Francuzów, to uzyskana suma nie wystarczyłaby na pokrycie odwiedzin wszystkich wsi i miasteczek polskich, roszcujących sobie pretensje do jego snu.

Ale nie chodzi w tej chwili o cesarski nocleg. Dom przy ulicy Sieradzkiej 28 posiada inną osobliwość, bardziej uchwytną od owej tradycji. Jest to tzw. wykładka, metalowa ochrona zamku u drzwi wejściowych, przedstawiająca postać człowieka. Majster, robiąc wykładkę, nie miał chyba na myśli wielkiego cesarza. Szaty metalowej postaci wskazują na osobę innej płci albo przynajmniej innego stanu.

Kiedy ozdoba powstała, nie wiadomo. Jeśli tak dawno jak dom, to istnieje już od początku XIX w. Może jej twórcą był jeden z majstrów silnego cechu kowalско-ślusarskiego, założonego w tym niewielkim miasteczku nad Pilicą jeszcze za czasów hetmana Koniecpolskiego. Najbardziej zastanawia ludzki kształt wykładki. Choć bogaty w metalowe zabytki rzemiosła, Koniecpol nie posiada drugiego tak przedziwnego okucia.

Podobnego zresztą nie znaleziono dotychczas i w innych regionach Polski.

A. H.

### PTAK KRZYŻODZIÓB

ma dziób jedyny w swoim rodzaju, nie spotykany u innych śpiewaków. Koniec górnej części jest hakowato zagięty ku dołowi, dolnej — ku górze. Mijają się one, tworząc rodzaj jakby nożyc. Dolną szczęką może poruszać w bok, ale tylko w jedną stronę. Powoduje to niesymetryczny rozwój mięśni, silniej zbudowanych po stronie umieszczenia skrzyżowania dolnej części dzioba, które u jednych bywa po prawej, u innych — po lewej stronie jako właściwość indywidualna. Ten asymetryczny rozwój mięśni powoduje analogiczne zdeformowanie czaszki.

Budowa dzioba jest dostosowana do sposobu zdobywania pożywienia, którym u krzyżodziobów są przede wszystkim ukryte w szyszkach nasiona świerków i jodeł. Ptaki jak sekatorem odcinają szyszki od gałązek, zanoszą w dziobach na gałąź i tam przytrzymując łapkami wsuwają dziób jak klin między łuski. Następnie odsunięciem w bok dolnej szczęki odchylają łuskę i językiem wydłubują nasionko.

Przy wspinaniu się po gałęziach ruchem papuzim przytrzymują się krzywym dziobem. Żerują w lasach świerkowych, spotyka się je najczęściej w południowej części kraju.

Nie osiedlają się w jednym miejscu na stałe. W okolicy, gdzie jest urodzaj na szyszki, zlatują się licznie, po czym przez lat kilka mogą tam nie pojawiać się wcale. Nie mają też pory lęgowej. We wszystkich miesiącach roku, łącznie z okresem największych mrozów i zawiei, można spotkać krzyżodzioby wysiadujące jaja. Aby ich nie zaziębić, samica nie opuszcza swego gniazda, wtulonego między świerkowe gałęzie, zwięzłe zbudowanego o grubych do 3 cm ścianach. Przez cały czas wylęgu karmi ją samiec.

Krzyżodzioby są bardzo ruchliwe, ich przenoszące się z drzewa na drzewo stadka napelniają las nieustannym świergotem. Upierzenie mają różnorodne — są osobniki szarawe, żółtawe, zielonawe, a nawet i czerwone, zależnie od płci i wieku.

Stare samce robią wrażenie ptaków czerwonych z brunatnymi skrzydłami i ogonem i szarawym spodem ciała. Samice są szarobrunatne z żółtymi krzyżami, a spodem szaro-zielonawo-żółtawe. Młode upierzeniem przypominają samice, ale na wierzchu i spodzie ciała mają ciemne podłużne pręgi. Młode samce są niekiedy mniej lub bardziej żółtawe, albo zielono-żółtawe.

Stanisław Dzieduszycki

Krzyżodziób świerkowy  
(*Loxia curvirostra* L.)

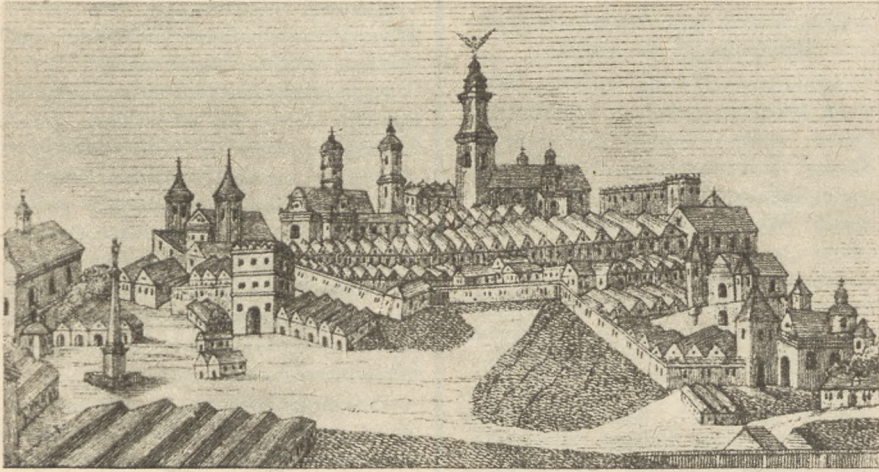
Rys. W. Siwek





# JAROSŁAW

EWA RUDZKA



↑ Tak miał wyglądać Jarosław w XVII wieku (Ilustracja z „Przyjaciela Ludu”, 1846 r.)



Jarosław — kamienica Orsettich

↑ Fot. J. Paduch



↑ Jarosław — dawne opactwo, otoczone murem obronnym z basztami

Ze wspartego na kroksztynach ganku biegnącego na wysokości pierwszego piętra objąć można okiem rozległy dziedziniec, sklepiony na wysokości dachu i oświetlony od góry bocznymi oknami. Zamczyste, kute drzwi oddzielają ten dziedziniec, zwany „wiatą”, od przepaści- stych piwnic sięgających głębokości trzech pięter, połączonych biegnącymi w różnych kierunkach korytarzami. Parę stopni tylko oddziela wiatę od ganeczka, z którego wchodzi się do ogromnej, pysznej komnaty o sklepionym stropie, ozdobionym sztukateriami. Wzrok ślizga się po malowniczych galeryjkach, schodach i ganeczkach na różnych poziomach. Chyba nie spotka się gdzie indziej w Polsce poza Jarosławiem podobnie ciekawego rozwiązania układu wnętrza, takiej asymetrii i fantazji, a zarazem tak wspaniałej harmonii i artyzmu cechującego architekturę renesansowych i wczesnobarokowych kamienic kupieckich.

Zatętniły kopyta końskie koło sieni wjazdowej — pewnie wjedzie zaraz do wiaty bryka ładowna zamorskimi towarami. Wyjdą z reprezentacyjnej komnaty bogato odziani dostojni kupcy, którzy zjechali się z całego świata na przeszławy jarmark jarosławski. Piwnice staną otworem dla cennych towarów, a na dziedzińcu wprawne ręce rozłożą na kramach i straganach różne wspaniałości z całej Europy i dalekiej Azji.

Koło kramów kotłują się różnojęzyczne tłumy o najrozmaitszym wyglądzie i ubiorze. Zjechało się tu około 30 000 kupców z różnych stron świata: z dalekiej Persji, Turcji, Armenii czy Moskwy, z Francji, Anglii, Niemiec, Hiszpanii, Włoch i wielu innych krajów. Wszak jarmarki jarosławskie są szeroko znane w renesansowej Polsce, porównuje się je nawet z targami we Frankfurcie nad Menem. Ciągłą ku sobie zachodnie sukna, gdańskie kiry i karazje, płótna farbowane, włoskie aksamity, brabanckie koronki, wyroby skórzan- ne i złotnicze, korale, perły i kryształy. Mienia się całą gamą kolorów tureckie jedwabie i wschodnie adamaszki, nęci zapachem i wyglądem towar zwany tatarskim — korzenie i kadzidła, szafrany, bakalie, a także różne maści i safiany. Przechodzi przez ten jarmark 40 000 wołów, a koni 20 000. O dziwo, sprzedaje się tu również książki. A z wielkiego portu rzeczno-ego nad Sanem płynącym wczas u stóp wzgórza, na którego krawędzi rosnąć zaczęły pierwsze siedziby ludzkie już około VIII wieku naszej ery, odpływają w stronę Gdańska wyrabiane w jarosławskiej stoczni portowej galary obładowane polskim zbożem, miodem, woskiem, skórą i drzewem.

Wre życie, płynie strugą złoto do Jarosławia, miasta na rubieży kultury zachodniej, na skrzyżowaniu wpływów Wschodu i Zachodu, na rozstajnych drogach biegnących od Morza Czarnego do Bałtyku i ze słonecznych Włoch do bezkresnej Rusi. Jarosław, wzmiankowany już w 1152 r., rośnie w pierścieniu średniowiecznych murów, bogaci się na tych jarmarkach niepomiernie, strzela w niebo widocznymi z dala

wieżami wspaniałych budowli. A jakie przewalają się tędy bogactwa, mówi fakt, że wybuchły w czasie jarmarku w 1625 r. pożar, który strawił większość miasta i zgromadzone w nim towary, naraził kupców na straty sięgające zawrotnej na ówczesne stosunki sumy złotych polskich 10 milionów.

• • •

Nie, bryka ładowna egzotycznymi towarami nie wjechała do podcienionej kamienicy nr 5 przy Rynku, odnowionej parę lat temu z takim mistrzostwem, że wchodzącemu do niej wydaje się, iż cofa się w czasie do złotego wieku Jarosławia. Nie zaskrzybiały zawiasy kutych renesansowych drzwi i przepastnych piwnic nie zapełniły liczne towary. Za to do piwnic innych, nie zabezpieczonych dotąd zabytkowych kamienic jarosławskich z XVI czy XVII w., o zachowanych równie pięknych autentycznych wnętrzach, przecieka powoli woda. Rozmywa glinę, którą w dawnych wiekach zaprawiano ceglane sklepienia tych lochów ciągnących się pod całym starym miastem, powoduje pęknięcie fundamentów i zapadanie się domów. W Jarosławiu nie było zniszczeń wojennych, natomiast teraz jedna za drugą walą się odwieczne kamienice o wspaniałej, niepowtarzalnej architekturze. Stare miasto stoi na krawędzi piwnicznych otchłani — symbolu minionej świetności polskich rodów mieszczańskich i grożącej domom zagłady.

Wygasły dawne możne rody kupieckie Jarosławia. Większość współczesnych właścicieli tych zabytkowych domów wymordowali hitlerowcy w krwawych kazamatkach, urządzonych w dawnym warownym opactwie sióstr benedyktynek, założonym na początku XVII w. przez Annę księżnę Ostrojską. Domy te pozostające pod zarządem miejskim nie mają dostatecznej opieki. W 1945 roku wykopano wzdłuż Rynku rowy, dla naprawy urządzeń elektrycznych, i zostawiono je nie zasypane przez kilka miesięcy: woda przeciekała bezkarnie do piwnic. Wody opadowe podmywają też stale fundamenty, bo rynkionie ma wcale albo są uszkodzone. Zapomniane są te domy zapomnianego miasta, zastygłego na krawędzi płaskowyzu lessowego, opadającego do niziny sandomierskiej ku dawnemu korytu Sanu, odsuniętemu w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia od miasta.

• • •

Stoimy na stoku wzgórza. W przejrzystym powietrzu rysują się wyraźnie kontury budowli Starego Miasta. Nad dachami zabytkowych domów jak latarnie połyskują z daleka świetliki wiat w kształcie wieżyczek. Ku północy rysują się na osobnym wzgórzu kontury budzącego respekt dawnego opactwa, opasanego murami i wzmocnionego przez 9 spiczastych baszt o daszkach krytych gontem — stanowi ono najbardziej charakterystyczny akcent jarosławskiego krajobrazu. Z okien tych baszt strzegących dawnego opactwa benedyktynek rozciąga się najpiękniejszy widok na Jarosław. Utrzymuje się wersja, że w podzie-





Rynek w Jarosławiu

Fot. Tadeusz Przykowski

miach kościoła przy opactwie znaleziono po pierwszej wojnie światowej dobrze zachowane, zabalsamowane zwłoki hetmana Karola Chodkiewicza i jego żony, Anny Alojzy Ostrogskiej. Faktem jest, że leciwy sześćdziesięcioletni hetman brał w Jarosławiu ślub z młodziutką córką potężnej Anny Ostrogskiej, a na weselu obecny był hetman Żółkiewski. Wprost z uczty weselnej Chodkiewicz wezwany został na plac boju, a w rok potem 1621 r. zginął z ran pod Chocimiem.

Zastanawiamy się, jak się to stało, że jedno z bogatszych polskich miast doby Odrodzenia jest dziś chyłącym się ku ruinie zapomnianym

miasteczkiem. Sredniowieczne ciemności na większości ulic, okropne bruki, walące się śródmieście, brak wodociągów i kanalizacji — to niewesoły obraz dzisiejszego Jarosławia.

Dlaczego nie przyjeżdżają tu plastycy, by uwiecznić zanikające uroki jarosławskiej architektury? Czemu żaden pisarz nie sięgnął do ciekawych dziejów mieszczaństwa polskiego w dobie Odrodzenia, w murach tak sławnego miasta? Temat ten mógłby posłużyć również za wątek scenariusza filmowego, nakręcanego na tle wspaniałych autentycznych dekoracji, jakimi są liczne jarosławskie budowle zabytkowe. Dla-

czego wreszcie żadna ekipa archeologów nie zajęła się poważnie przebadaniem wzgórza, na którym powstało jedno z najstarszych miast polskich?

Na ciemnym tle zaczynają się jednak pojawiać jaśniejsze plamy: po licznych interwencjach tutejszego prezydium MRN zlecono pracownikom konserwacji zabytków dokonanie inwentaryzacji jarosławskich łochów i sporządzenie dokładnej ich dokumentacji. Należy teraz jak najprędzej przystąpić do zabezpieczenia fundamentów domów Starego Miasta, aby ocalić je od dalszej zagłady.

Ewa Rudzka



#### RUINY NA WYSPIE koło Bolkowa

Szczególnie interesujący przykład zamku „wodnego” stanowią ruiny w Kłaczynie koło Bolkowa. Zamek zbudowany był na niewielkiej, zaledwie 30×15 m mierzącej wysepce pośrodku stawu, zapewne niegdyś sztucznie utworzonego.

Na przestrzeni tej wznoszą się obecnie skromne już resztki murów, zwieńczone wyniosłą zrujnowaną basztą obronną o trzech kondygnacjach. Baszta wzniesiona z kamienia, czworoboczna, wewnątrz niegdyś sklepiona, z attyką, która zachowała się częściowo do chwili obecnej i stanowi ważny szczegół architektoniczny. Składała się ona z grzebienia o elementach półi ćwierćkolistych, przypominających attykę zachowaną na kilku innych budowlach, np. na zamku w Ząbkowicach Śląskich, a także na baszcie

sprzed połowy XVI wieku, w pobliskim zamku w Bolkowie.

Z tego też czasu zapewne datuje się i attyka na baszcie w Kłaczynie.

Do niedawna obok ruin baszty wznosił się jeszcze wysoki komin sklepionej kuchni, znany z ilustracji sprzed kilkudziesięciu lat.

W najbliższej okolicy, oprócz imponujących ruin średniowiecznego zamku w Bolkowie, znajduje się kilka innych zabytków architektury obronnej. Uwagę wśród wielu zwraca potężna ruina zamku w Swinach, usytuowana na wyniosłym wzgórzu. Obiektami tymi interesowano się od dawna; natomiast ruiny zameczku w Kłaczynie nie są dotychczas bliżej zbadane. Położone są one w dolinie rzeki Nysy Szalonej, koło 5 km na wschód od Bolkowa.

Tradycja głosi, że istniał tu zamek wcześniej, że zniszczony został w r. 1430, w czasie walk z husytami. Ale dopiero szczegółowe zbadanie szczątków budowli mogłoby wykazać, czy w obecnej ruinie przetrwały pozostałości wcześniejszego budynku.

Marian Kornecki

je życiem. Roje żaglówek, kajaków, łodzi, przecinają jego powietrze. Jest ich mnóstwo, lecz z jaką swobodą poruszają się po ogromnej powierzchni zbiornika. Na plażach roje ludzi, na piaskach wałów i brzegów czy pośród zieleni traw, przybrzeżnych drzew i krzewów odpoczywają po pracy. To, widocznie, święto lub niedziela. Z warszawskich fabryk i domów przywiózł ich tutaj szybokobieźny tramwaj, a może tramwaj wodny.

Grupa kajaków przecięła właśnie jezioro i pod pływa do zapory. Nie, to nie żaden wybryk czy zbyt nieostrożna ciekawość. W tym miejscu czeka na nie śluza sportowa. Płyną pewno na wycieczkę w dół Wisły, może do Wyszogrodu czy Płocka! Specjalna śluza dla żaglówek i kajaków sprowadzi ich bez kłopotu z wyniesionej na szereg metrów w górę powierzchni zbiornika w dół na płynące poniżej wody Wisły. Do następnej zapory, gdzie pod Wyszogrodem jeszcze szereg kilometrów pięknej trasy.

Przez zaporę, jaz i siłownię prowadzi szeroka zsoza. Na moście przy siłowni zatrzymał się autobus. Turyści patrzą w dół, gdzie spieniona woda wypływa spod turbin. Widać całe masy ryb. Dążą pod prąd wody do przepławki, specjalnego urządzenia, które pozwoli im przejść do zbiornika i ruszyć w dalszą wędrówkę, w górę rzeki.

Tam po kilkunastu kilometrach zbiornik zwęża się, wchodzi w zwykłą szerokość koryta. Lecz nie ma tu mielizn czy płycizn. Spiętrzone wody wypełniają koryto. Łączą gładką taflą miejskie bulwary. Przegląda się w niej zielen drzew i krzewów. Nad zbiornikiem powstał obszar o bardziej wyrównanym klimacie, o większej wilgotności powietrza. Zapora, brzegi zbiornika i miejskie bulwary toną w zieleni.

Wizja to — prawda, lecz oparta na konkretnym projekcie wizja realna, która niedługo stanie się rzeczywistością.

Ogólny schemat kaskady Wisły wypełnia się obecnie szczegółowymi projektami stopni. Pod Krakowem i Warszawą, na Wiśle dolnej i górnej, nabierają kształtów koncepcje. Wyrastają wciąż nowe problemy: powiązanie z przemysłem, z rolnictwem, z komunikacją lądową, zabudową dopływów Wisły, nie tylko większych, jak Dunajec, San czy Bug, ale i mniejszych.

Praca na lata całe, dzieło ogromne i piękne, urzeczywistnienie marzeń Żeromskiego.

ALEKSANDER ŁASKI

↑ Ruiny baszty zameczku w Kłaczynie

Fot. Marian Kornecki



Od prof. Kazimierza Moszyńskiego otrzymaliśmy list następujący:

„Z prawdziwą radością witam wznowienie „Ziemi”, z którą niegdyś wcale intensywnie współpracowałem. Chcąc się choć w drobnej mierze przyczynić do rozwoju naszego nowego krajoznawczego czasopisma, proponuję założyć w nim m. in. osobny dział, umieszczający szczególnie ciekawe pod względem krajoznawczym fragmenty z dawnych druków, ewentualnie zaś i z manuskryptów. Aby dać przykład, jak bardzo różnorodna i interesująca dla nas wiadomości można tu znaleźć, przesyłam kilka urywków“.

Do tego listu prof. Moszyński dołączył przyczynki, którymi otwieramy w myśl jego sugestii osobny dział ZIEMI.

### 1. Król Władysław Jagiello jako prekursor naszych archeologów

Wiemy dziś, jak bogata w wykopaliska jest Wielkopolska. Nie zdziwi nas więc wcale, że poniższe wiadomości Długosza do niej się odnoszą. Wspomniane tu przez sławnego naszego dziejopisę wsie Nochów, inaczej Nochowo, oraz Kozielsk, inaczej Kozielsko, znajdują się obie w Wielkopolsce i obie na obszarach, gdzie archeologiczne zabytki występują szczególnie obficie: Nochowo (według dawnej mapy gen. Chrzanowskiego) — o 3,5 na południowy zachód od Szremu, Kozielsko zaś (według mapy) — o 7 km na południowy wschód od Łekna.

Pod r. 1416 pisze Długosz w swych *Dziejach polskich* o Jagiellu: „ze Wschowy udał się król do

Szremu, dokąd przybył posłaniec Ernesta, księcia Austrii, powinowatego królewskiego, ze zleceniem, aby się przekonał osobiście i naocznie, czyli prawdą było, co mu powiedział szlachcic polski Jan Warszewski, że w Królestwie Polskim rodzą się w pewnym miejscu same przez się i bez żadnej ludzkiej pracy różniczne i różnego kształtu garnki. Książę bowiem Ernest, uważając tę powieść za niepodobną do prawdy i nie chcąc jej bynajmniej wierzyć, wyprawił umyślnie dworzanina swego, aby się im osobiście przypatrzył i sprawdził to osobliwsze przyrodzenia dzieło. Zatem król Władysław, chcąc przekonać wątpiącego o tym Ernesta księcia Austrii, pojechał z nim na pola wsi Nochowa, między miastami Szremem i Kościaniem leżącej, i w jego obecności kazał w wielu miejscach ziemię kopać, gdzie rzeczywiście znaleziono mnóstwo garnków rozmaitej formy i objętości, ręką samej przyrody dziwnie i misternie jakby przez garnarczka urobionych, i ukazał te cudowne natury utwory dworzaninowi księcia Austrii, który je z ciekawością oglądał. Takowe zaś garnki nie w jednym tylko miejscu, jak o tym już na początku naszych ksiąg mówiliśmy, ale w wielu okolicach Królestwa Polskiego rodzą się. Na dowód więc i poświadczenie prawdy dał król Władysław kilkanaście takich naczyń, rozmaitego kształtu i wielkości, posłańcowi księcia Ernesta, aby je zawiózł swojemu panu. Garnki te po wydobyciu z ziemi są z wycyzaj słabe i kruche, a dopiero na słońcu twardnieją i do wszelkiego użytku stają się sposobnymi.“

Napomknięcie Długosza, że na początku swych ksiąg mówił o „rodzeniu się” garnków w wielu okolicach Polski, niezupełnie pokrywa się z tym, co istotnie na wstępie do właściwych *Dziejów* podaje. O ko-

palnej ceramice czytamy tam bowiem tylko tyle: „Dwie rzeczy ma Polska cudowne: Naprzód, że na polach wsi Nochowa, blisko miasteczka Szremu, tudzież we wsi Kozielsku, w obwodzie Pałuk, niedaleko m. Łekna, rosną garnki wszelakiego rodzaju, same przez się, sztuką wyłączną przyrody i bez wszelkiej pomocy ludzkiej, kształtów rozmaitych, podobnych do tych, jakie ludziom służą do domowego użycia; słabe wprawdzie i miękkie, dopóki spoczywają w ziemi i w swoich jamach rodzinnych, ale gdy z nich wydobyte na wietrze albo na słońcu stwardnieją, dosyć mocne. Są one rozmaitej postaci i objętości, niemal jakby sztuką garncarską wyrabiane; a co mi jeszcze dziwniejszym się zdaje, że płodność ich przyrodzona, jak uważano, nigdy się nie zmniejsza, chociaż ziemia nie bywa otwierana.“ (W związku z drugą „rzeczą cudowną“ w Polsce wymienia Długosz parę miejscowości w okolicy bełskiej, gdzie ścięte gałęzie sosnowe czy całe sosny miały jakoby przybierać w parę lat po ścięciu właściwości krzemienia)<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> „Opera omnia“ Wyd. Przeddzieckiego t. V, str. 179 i t. II, str. 47. Cytuję za wypisami Z. Glogera pt. *Wyciągi z Dziejów Polskich Długosza dotyczące fizjografii dawnej Polski*. Pamiętnik Fizjograficzny t. VIII, dział V, str. 22 i str. 6/7. Zob. też Z. A. Rajewski w „Ilustracji Polskiej“ z r. 1937 i I. Mańkiewicz w „Dawnej Kulturze“ z r. 1955 (Nr 2).

<sup>2</sup> To znaczy z włókna z konopi męskich, zwanych płoskonkami.

<sup>3</sup> M. Rey *Zywoć człowieka pocztowego*, wyd. Kallenbacha, t. I, r. 1903, str. 15.

W XVI w. nie obowiązywały oczywiście żadne zakazy ochrony przyrody, toteż chronione dziś ustawą orzechy wodne (*Trapa natans*) zbierał, kto chciał; zabawiała się tym nawet i próżniacza młodzież szlachecka. Oto bowiem, co pisze o Reyu współczesny mu Andrzej Trzeciecki „jego dobry towarzysz“: „Potym go dał (sc. ojciec) do Krakowa i był rok w bursie... zdało się ojcu, iż już był nauczony człowiek, a on przedsię jako dawno nic nie umiał, wziął go zasię do domu, do onego Żórawna. Tamże z rucznicą a z wędką biegając... aż do ośmnaście się lat ćwiczył, baki strzelając. A gdy przyniósł pełne zanadza płóć, laskowych i wodnych orzechów, a kaczora albo gołębia, albo wiewiórkę za pasem, to go z onej korszule z płoskonek<sup>1</sup> rozstrząsali rozpasawszy, ano wszystkiego dobrego dosyć. To się tu w nim kochali mówiąc: „Nic nasz Mikołaj nic; ba, nie zależy ten na starość gruszki w popiele“.<sup>2</sup>

Pedantyczny etnograf, odpisawszy sobie powyższą wiadomość, włożyłby kartkę z tym odpisem do swego archiwum jako jeden z dowodów tzw. przeżytkowego zbieractwa. Ale uczyniłby tak nie tylko przez wzgląd na wzmiankę o orzechach wodnych, lecz również dlatego, że urywek zawiera jedno z najstarszych napomknięć polskiego przysłowia o „niezasypianiu gruszek w popiele“, które również nawiązuje do zbieractwa. Mianowicie jednym ze sposobów zmiekczenia twardych owoców dzikiej (a pewnie i prymitywnych odmian ogrodowej) gruszy było ogrzewanie ich w gorącym popiele; przy czym należało uważać, by nagrzewanie nie trwało zbyt długo.

Jak urywek z Długosza, pomijając jego krajoznawczy charakter, stanowi jednocześnie arcyzajmujący przyczynek do rozwoju zainteresowań naukowych i rozwoju „naukowych“ interpretacji w Polsce, czy w ogóle w środkowej Europie, tak znowuż urywek z Trzecieckiego, niezależnie od swej krajoznawczo-etnograficznej wartości, rzuca światło na obyczaje młodzieży szlacheckiej XVI wieku.

## KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ

DER NORDHÄUSER ROLAND

Niejednego polskiego krajoznawcę podczas lektury kolejnych zeszytów „Der Nordhäuser Roland“<sup>1</sup> ogarnia uczucie zbliżone do zazdrości. Odnosi bowiem wrażenie, że praca krajoznawcza w Niemieckiej Republice Demokratycznej prowadzona jest wprawdzie bez reklamy i nadmiaru teoretycznych rozważań, ale za to systematycznie, z pożytkiem dla społeczeństwa i dużą satysfakcją dla wykonawców.

Ogłaszany w każdym numerze miesięczny plan zajęć „grup roboczych“ zapoznaje nas z głównymi zainteresowaniami. Są one bardzo zróżnicowane: historia regionu, badanie jaskiń i zjawisk krasowych (z których np. słynie „Saska Szwajcaria“) a także dendrologia i botanika, entomologia, ornitologia, wreszcie fotografia i film krajoznawczy. Zebrania grup odbywają się w dni powszednie w godzinach popołudniowych, najczęściej w jakiejś restauracji. W niedziele i święta urządzane są wycieczki, podczas których krajoznawcy prowadzą

w terenie obserwacje, badania i zbierają potrzebne im materiały, każdy w zakresie swych zainteresowań.

Wyniki tych badań znaleźć można często na łamach „Rolanda“ w postaci monograficznych lub wycinkowych opracowań. Dla przykładu kilka tytułów: *Flora zapadłisk ziemnych w zachodnim i południowym Harcu*, *Kartki ze starych kronik Nordhausen*, *Dzieje zaopatrzenia Nordhausen w wodę*, *Z historii wsi Aulenben*. Sascy krajoznawcy pracują też często w porozumieniu z naukowcami lub instytucjami naukowymi, przekazując im wyniki swych amatorskich badań.

Miesięcznik drukuje także artykuły o tematyce związanej z powiatem, napisane przez fachowców, jak np. sprawozdania z wykopalisk archeologicznych lub też geologiczne dzieje okolicy. Artykuły programowe ukazują się bardzo rzadko — w dostępnych mi kilkunastu numerach znalazłem tylko jeden: *Nasze badania nad historią lokalną, ich wyniki, pro-*

*blemy i cele*. Całości każdego numeru dopełniają aktualia kulturalne i reklamy.

Program działalności, ogłaszany w każdym numerze, daje nam także pojęcie o akcji popularyzacyjnej, przeznaczonej dla krajoznawców, interesujących się jakimiś zagadnieniami biernie. Ilości wygłaszanych odczytów są zdumiewające. Na przykład Fryderyk Schuster, kierownik grupy speleologicznej, wygłosił w ciągu 11 lat około 700 odczytów.

Objętość poszczególnych zeszytów „Rolanda“ jest różna — od 20 do 100 stron — i prawdopodobnie zależy od ilości posiadanych materiałów. Szata graficzna jest skromna, ale dopasowana do charakteru pisma. (J.)

<sup>1</sup> „Der Nordhäuser Roland“, miesięcznik wydawany w Nordhausen przez powiatowy oddział Kulturbundu, związku niemieckiej inteligencji.





Ryszard Kukier

W sali posiedzeń prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Miastku na Pomorzu, znajdują się zbiory dawnego muzeum regionalnego. Muzeum w Miastku nie reaktywowano, a pozostałe po nim okazy tworzą bezładne zbiorowisko. Archeolog znajdzie tu wiele zabytków z okresu brązu i żelaza, w postaci ozdoby urn i naczyń glinianych, przęślików, fragmentów zabawek, a także brązowych spinek, naszyjników i naramienników. Etnograf natrafi tu na klocki służące niegdyś ludowym rzemieślnikom do drukowania wzorzystych tkanin, na rzeźbioną wagę ręczną, części wiejskich krosien, a także na kilka miejscowych rzeźb ludowych. Te niewielkie zbiory mają jednak niemałe znaczenie dla wiedzy o regionie, z którego pochodzą. Niezwykle cenne są dla nas zwłaszcza zabytki miejscowej kultury ludowej, o której wiemy tak mało. A przecież musimy pamiętać o tym, że pochodzą one z okresu, kiedy kultura ludowa tego regionu nie uległa jeszcze fali nowoczesnej pruskiej urbanizacji, połączonej z nalotem wpływów germanizacyjnych. Mamy więc do czynienia z zabytkami polskiej sztuki ludowej, od wieków kształtującej się na tych ziemiach. Nie trzeba chyba rozpisywać się nad znaczeniem, jakie mają dla nas zabytki kultury ludu polskiego ziem zachodnich.

A jednak sytuacja, w jakiej znalazły się owe cenne zbiory, jest co najmniej niepokojąca. Oto pod koniec 1953 r. budynek PRN w Miastku uległ zniszczeniu na skutek pożaru. Sala ze zbiorami ocalała, ale władze powiatowe opuściły budynek, nie dbając o losy zabytków. Niszczą one więc w dawnej sali posiedzeń z dnia na dzień. W 1954 r. rozmokła ceramika i spalone z wilgoci drewniane zabytki etnograficzne dożywały swego końca. Wobec tego katastrofalnego stanu zbiorów w Miastku, najbliższe muzea, a mianowicie Muzeum Pomorskie w Toruniu i Muzeum w Koszalinie, zachowywały się zupełnie biernie. Nie wolno w tej sytuacji oczekiwać bezczynnie na chwilę, w której problem zapomnianych zbiorów muzealnych zniknie, wraz z całkowitym ich zniszczeniem. Otwiera się tu pole do działalności miejscowych krajoznawców, świadomych znaczenia owych zbiorów dla poznania kultury regionu. Po jak najszybszym zinventaryzowaniu niszczących w wilgoci zabytków, należałoby odpowiednio je zabezpieczyć i poddać konserwacji.

Ofiarną i energiczną akcją w obronie swych zbiorów regionalnych społeczeństwo Miastka odda też przysługę polskiej kulturze narodowej.

A może dałoby się urządzić w Miastku muzeum regionalne PTTK?

\*

Notatka powyższa przedstawia stan sprzed kilku miesięcy. Zwracaliśmy się do wydziału kultury Po-



**CERKIEW OBRONNA  
w Posadzie Rybotyckiej  
(w pow. przemyskim)**

Wędrującemu pełną serpentyn i piękną krajobrazowo drogą z Birczy ku Rybotyczom, na kilka kilometrów przed tą osadą w malowniczej dolinie rzeki Wiar ukazuje się na stromym wzniesieniu interesujący zabytek architektury. Już na pierwszy rzut oka potężnymi oszkarpowanymi murami z okienkami strzelniczymi, przypomina on obronny zameczek.

Dzieje tego miejsca mało pozostały konkretnych wiadomości. Według tradycji, w I połowie XVI wieku Stanisław Herbut wznosił w Posadzie Rybotyckiej monaster bazyliński. Później przeniesiono go do Dobromila i z zabudowań klasztornych nic się nie zachowało prócz cerkwi. Inna tradycja łączy ten obiekt z ruchem ariańskim. Gotycko-rene-

sansowy styl istniejącej budowli wskazuje jednak niewątpliwie na powstanie jej w wieku XVI.

Cerkiew położona na pochyłości terenu zwrócona jest częścią kapłańską ku wschodowi. Wzniesiona z nieobrobionego kamienia, potynkowana, zwraca uwagę niezwykłą grubością murów. Plan budowli trójdzielny: nawa kwadratowa o charakterze zbliżonym do potężnej i wzniosłej baszty, przy niej niewielka część prezbiterialna zamknięta ścianą prostą, ponad którą szczyt schodkowy ze sterocznymi o charakterystycznej gotycko-renesansowej dekoracji z cegły formowanej oraz z blendami dekoracyjnymi. Masywna, przysadzista wieża od zachodu jest drugą obok nawy bryłą nadającą całości obronny charakter. Lecz nie tylko ukształtowanie przestrzenne świadczy o obronności: nad nawą mieści się druga kondygnacja obronna ze strzelnicami, podobnie i strych części prezbiterialnej ma strzelnice wkomponowane w dekorację szczytu. Wieża,

wiatowej Rady Narodowej w Miastku z prośbą o informacje co do stanu zabytków, o których mowa, i otrzymaliśmy odpowiedź, że przeniesiono je do budynku mieszczącego szkołę.

Nie wiemy, co się z zabytkami dzieje w tej chwili. Być może, zapytanie nasze tak poruszyło umysły pracowników PRN, że losy muzeum regionalnego zmieniły się na lepsze. Jeśliby tak było, nasza notatka straciłaby oczywiście swą aktualność. Nie traci jej jednak problem.

Ochrona zabytków stała się ostatnio tematem żywej dyskusji prowa-

dzanej na łamach prasy. Mowa jest jednak przede wszystkim o dużych obiektach zabytkowych, najczęściej powszechnie znanych, na których konserwację potrzebne są znaczne fundusze. Nie zabierając na razie głosu w tej sprawie, poruszyliśmy problem ochrony zabytków drobnych i przeważnie zapoznanych.

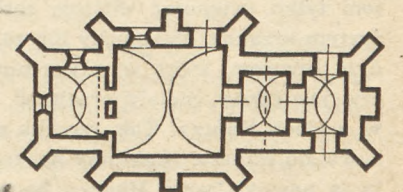
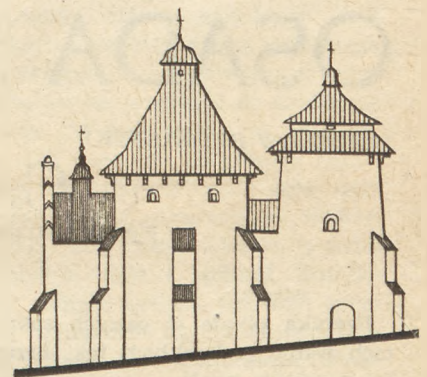
Jeżeli „jedna za drugą wałą się odwieczne kamienice“, to domagając się ich ratowania żąda się tym samym przeznaczenia na ten cel milionów. Gdy jednak „rozmokła ceramika i spalone z wilgoci drewniane zabytki etnograficzne dożywiają

na którą prowadzą zewnętrzne kamienne schodki (niepierwotne), posiada na piętrze sklepienie pomieszczenie, ponad nią — trzecia kondygnacja z okienkami strzelniczymi. Do wnętrza bocznymi wejściami pod wieżą zstępuje się w dół, z uwagi na nierówność terenu. Nieoczekiwanie małe okazuje się wnętrze; dopiero teraz zdać sobie można sprawę z grubości murów budynku. Bardzo niskie sklepienia kolebkowe jeszcze powiększają wrażenie ciasnoty. Wątek kamienny sklepien widoczny jest dobrze od strychu: są to naturalne płyty kamienne wydobyte zapewne z koryta rzeki, starannie dobrane.

Malowniczości obiektu dopełniają dachy, niestety blachą kryte: nad nawą wyniosły charakter podkreśla wysoki dach namiotowy, przechodzący w czworoboczną przyplaszczoną kopułkę, z wydatnym okapem na drewnianych kroksztynach. Nad wieżą niski hełm w kształcie dachu łamanego polskiego nadaje jej charakter masywności i przysadzistości. Gontowe pokrycie zachowało się jeszcze nad prezbiterium, zwieńczonym strzelistą wieżyczką.

Cerkiew obronna w Posadzie Rybotyckiej jest ważnym zabytkiem.

← Cerkiew obronna w Rybotyczach  
Fot. Marian Kornecki



Stanowi ciekawy przykład sakralnej budowli warownej i jest jednym z nielicznych zabytków tego rodzaju w Polsce. W swym interesującym układzie przestrzennym nie znajduje niemal odpowiednika na terenie całego kraju.

Marian Kornecki

swego końca“ — nie brak pieniędzy ponosi winę, lecz jedynie powszechna obojętność, bezmyślność i nieświadomość. Moralnie odpowiedzialni są wszyscy, którzy o tym wiedzą, a swą obojętnością przyspieszają zniszczenie przedmiotów stanowiących część dorobku kulturalnego naszego kraju.

Faktów podobnych jest wiele. Prosimy o nadsyłanie wiadomości o niszczących i zagrożonych zabytkach drobnych i mało znanych. Jednocześnie otwieramy dyskusję nad sposobami społecznego ratowania zabytków tego typu.





# OSADA NAD JEZIOREM

JAROSŁAW RUDNIAŃSKI

Chcę wam opowiedzieć o niewielkim skrawku ziemi pomiędzy ciemną wijącą się strugą i brzegiem wielkiego jeziora.

Rzeczka płynie w ostrych zakrętach wśród podmokłych łąk, brzegi jej porastają trzciny i szuwary, czasem tylko ustępując miejsca rozłożystem krzakom czeremchy lub młodym brzożom, które wyszły z puszczy, jak gdyby chciały przejrzeć się w wodach Hańcza. Tak, rzeczka nazywa się Hańcza. Niektórzy nazywają ją nawet Czarną Hańczą, bo woda jej nawet w letni słoneczny dzień ma barwę granatu. Jesienią, kiedy trzciny przybierają kolor brunatny, brzozy stają się żółte, a liście czeremchy pąsowieją, woda Hańczy ciemnieje jeszcze bardziej. Przy brzegach odcinają się tylko jasną zielenią szerokie pasy wodnej trawy, która zginie dopiero pod pierwszym śniegiem.

Jezioro nazywa się Wigry.

Gdy wieje silny wiatr i wierzchołki sosen na skraju lasu zataczają szerokie kręgi, a liście olch szumią głośniejsz niż zwykle, po jeziorze tańczą białe, pienne grzebienie i fale wdzierają się z loskotem na niski brzeg. Tylko w niewielkiej zatoczce przy ujściu Hańczy woda jest zawsze spokojna i jedynie z daleka, od strony Rosochatego Rogu i klasztoru wigierskiego dolatuje głośny szum fal i gwizd wiatru na szerokiej przestrzeni.

Zatoczka, która na mapach sztabowych nosi nazwę Zatoki Hańczańskiej, a przez rybaków zwana jest

„Zatoką Harcerską“, wrzyna się głęboko w łąd, tworząc nieregularny czworobok, zamknięty od północy wysokim leśnym brzegiem. Na południowym krańcu zatoczki wpada do jeziora Hańcza. Między krętą wstęgą rzeczki i południowo-zachodnim niskim brzegiem jeziora utworzył się wąski, bagnisty, porośnięty puszcza cypel.

Przed kilku laty na tym leśnym cyplu, tak gęsto zarosłym trzcinami i młodymi pędami olch, że z trudnością tylko można się przez nie przedrzeć, nastąpiło dziwne zdarzenie.

W jesienny ciepły dzień na ciemnej wodzie Hańczy ukazały się dwie lekkie smugi, jak gdyby ktoś tuż pod powierzchnią prowadził rozwidloną gałązkę. Przed ujściem rzeczki do jeziora smugi skręciły nagle i skierowały się wprost ku brzegowi. Po chwili wśród gęstej trawy i szerokich liści tataraku wynurzyły się dwie płaskie głowy, porośnięte jedwabistym płowobrazowym futerkiem, a małe, żywe oczka rozjejrzały się uważnie dokoła, nozdrza wciągnęły niespokojnie powietrze. Było cicho. Wysokie, pożółkłe trawy na łące podchodzącej do lasu stały nieruchomo, leciutko stukwały opadające z drzewa liście.

Zwierzątka wyszły na brzeg, a jedno z nich, przyciskając do ziemi swój płaski, gruby ogon i podpierając się nim, stanęło na tylnych łap-

kach. W ten sposób mogło już zobaczyć, co się dzieje dalej, za łąką. Na skraju lasu rosły gęsto zarośla leszczyny, dalej wznosiło się kilka szarych pokręconych wierzb, zwieszały się długie gałęzie brzoż, w głębi ciemniały rozłożyste korony sosen. Zwierzątko wydało niski, mocny głos, drugie odpowiedziało mu. Z daleka przypominało to przygłuszoną nieco rozmowę ludzi.

Zaręczam wam, że gdyby nadleśniczy, który kreślił właśnie w Suwałkach plany rezerwatów, zobaczył w tej chwili owych dziwnych gości nad Hańczą, ucieszyłby się niezmiernie. Bobry! Bobry wróciły nad jezioro Wigry! Po raz pierwszy od stu pięćdziesięciu lat!

Nad Hańczą rozległ się znowu cichy plusk i para bobrów, wynurzając z wody tylko czubki łebków i brunatne grzbiety, popłynęła w stronę jeziora. Potem — już na jeziorze — bobry skręciły w lewo, kierując się ciągle wzdłuż brzegu. Płynęły szybko, zagarniając wodę tylnymi błoniastymi łapami i sterując płaskim ogonem. Kiedy okrążyły cypel i znalazły się przy wysokim, północnym brzegu zatoczki, zatrzymały się na chwilę, patrząc uważnie na strome sosnowe zbocza. Potem popłynęły z powrotem. Wyładowały przy niskim, najdalej wysuniętym z półwyspu klinie, z trzech stron otoczonym przez jezioro. Na brzegach rosły brzozy, trzciny po-

chylały się nad wodą, w bagnisty grunt wczepiały korzenie cienkie, szare pnie jesionów...

W kilka dni później do mostku nad Hańczą, niedaleko od jeziora, przybiła szeroka łódź. W łodzi leżały grabie i widły, na rufie stał chłop w łapciach z długim drągiem „na pych“. Przy dziobie na ławeczce siedziała dziewczynka, może trzynastoletnia, trzymając w ręku bosak. Przyjechali po siano stojące w wielkich stertach na podmokłej łące.

Kiedy dobili do brzegu, dziewczynka przyciągnęła bosakiem łódź i wyskoczyła na mostek.

— Tatusiu! — krzyknęła nagle — Tatusiu! Chodźcie tutaj!

— Coś tam zobaczyła! Wilka czy... — chłop wdrapał się na mostek. — A któż to drzewo tak ściął?

— Przecież to nie siekiera, tatusiu, przecież to nie siekiera! I piła też nie... Zobaczcie no!

Przebiegli przez mostek, pochylili się nad drzewem. Gruby pień wierzby, rosnącej tuż nad wodą, ścięty był w ostry klin — widać niedawno, bo drewno było jeszcze białe. Srodek pnia, oparty jednym końcem o brzeg, leżał w wodzie. Wierzchołek, razem z koroną — znikł.

O bobrach dowiedzieli się ludzie.

Na cyplu tymczasem wrzała robotą. Gdyby który z wigierskich rybaków lub zapóźnionych jesiennych turystów podpłynął nocą pod Hańczańską Zatokę nie pluszcząc wiosłem i wiatr mając od siebie, usłyszałby przerywany, ostry chrobot zębów tnących drzewo lub głośny, rozchodzący się daleko echem plusk wody, gdy zwała się z brzegu wysoka brzoza rosnąca od pół wieku nad jeziorem. A gdyby wśród dnia przedarł się przez zarośla przybrzeżne na wysunięty cypel, zobaczyłby wśród trawy między korze-





których wyjścia należałoby szukać niekiedy o kilkanaście metrów, w brzegu jeziora. Ziemię objęły w posiadanie bobry.

W splątanym sitowiu krzyżowały się wąskie wydeptane ścieżki, niemal każdego dnia wydłużał się kanał prowadzący od jeziora do grupy młodziutkich brzoź w głębi półwyspu. Po Hańczy płynęły odarte z kory pnie wierzb, kierowane przez niewidzialnych flisaków.

Bobry pracowały zawzięcie. Wierście mi, niewielu ludzi potrafi tak pracować...

„On“ — duży, przysadzisty bóbr o mocno sklepionym grzbiecie i lśnącym brązowym futerku miał chyba metr długości. „Ona“ — trochę mniejsza, futerko nieco bardziej szare, a na czarnym prawie ogonie pokrytym łuskami ze skóry można było zauważyć leciutki, niebieskawo-odcien. Poza tym trudno je było rozróżnić.

Kiedy pień był grubszy, razem ciągnęły go przez kanał, składając na płaskim, równym prawie z poziomem wody brzegu jeziora. Przeważnie jednak „on“ gromadził materiał, a towarzysząca jego układała okrągłaki jeden obok drugiego, ukośnie ku górze, szczelnie zalapując szpary mułem, który wynosiła w przednich łapkach z dna jeziora. Niekiedy, trudno mi powiedzieć dlaczego, splewiała nawet drzewo z odległej o pół kilometra wyspy. Pracowały szybko, bo dnie były coraz chłodniejsze, nadchodziła zima. Trzeba się było śpieszyć.

Kiedy gajowy z Sobolewa, zapinając szczerze kurtkę przed kłującymi igłami śniegu, dochodził do końca półwyspu, zobaczył nagle tuż nad brzegiem jeziora pomiędzy dwiema olchami coś, co z daleka wydało mu się wysoką kupą gałęzi.

— Cóż u licha, czyżby naprawdę... — mruknął zdziwiony, przyspieszając kroku. Dopiero z bliska, parę metrów od brzegu, zobaczył wyraźniej — żeremie! Bobrowe żeremie! Więc mieli rację ludzie, kiedy mówili, że bobry przyszły na Wigry! A nie chciał im wierzyć...

Aż zatarł ręce z uciechy. No widać muszą się czuć bezpieczne, skoro zbudowały sobie domek! Inaczej spędziłyby zimę w norach. Przyjrzał się uważnie — gałęzie i pnie młodych drzewek narzucone gęsto, nie dbale, jeden na drugi, tworzyły doskonałą ochronę wysokiego na przeszło dwa metry kopca. Pod okrągłakami widać było drugą warstwę pni, nieco grubszych, zlepionych starannie mułem i ziemią. Gajowy obszedł kopiec dwa razy, ale wejścia nie znalazł.

— Aha — przypomniał sobie — wchodzi pod wodę tunelem, wejście mają w podłodze...

W kilka dni potem na planach rezerwatów nadleśnictwa Wigry ujście Czarnej Hańczy, Zatokę Harcerską i kawałek jeziora zakreślono grubą czerwoną linią. Koło linii czernił się duży, wyraźny napis: „r e z e r w a t b o b r o w y“.

Rezerwat — to takie miejsce, gdzie wolno wejść tylko za specjal-

nym pozwoleniem. Nic więc dziwnego, że nikt nie słyszał, kiedy na początku kwietnia rozległ się w domku głośny pisk czterech małych boberków, które domagały się natarczywie świeżych listków i trawy. Zachowywały się zresztą na pewno tak samo jak te boberki kanadyjskie, o których pisze Grey Owl w pięknej książce *Sejdžio i jej bobry*.

Kapały się w wypełnionym wodą otworze tunelu znajdującym się w podłodze domku, mocowały się ze sobą, a kiedy ojciec lub matka pojawiali się w otworze niosąc w przednich łapkach smaczne wiązki świeżej trawy lub młodziutkich liści, podnosiły taki wrzask, że słycać go było na zewnątrz, poza ścianami domku. Zwłaszcza jeden z nich, największy, o najciemniejszym futerku, piszczał tak głośno, że zagłuszał całe rodzeństwo. Czasem starał się też, naśladowując ojca, stanąć na tylnych łapkach i parskać. Niekiedy mu się to nawet udawało. Był tak silny, że mocował się ze wszystkimi na raz, chociaż rzadko wychodził zwycięzcą z takiej walki. W ogóle trzeba przyznać, że cała rodzina czuła się doskonale i żyła w przykładowej zgodzie.

W połowie maja, kiedy przy ujściu Czarnej Hańczy ptaki zagłuszały szum fal jeziora, kiedy łąki i zagaje brzożowe kipiały życiem, a słońce z coraz większym trudem przedziera się przez gęste korony dębów, olch i jesionów — małe boberki po raz pierwszy opuściły swój domek. Kołysząc się na spokojnych falach i wystawiając nad wodę tylko pokryte gęstym futrem uszki i maleńkie oczki patrzyły z ogromną ciekawością na kolorowy, błękitno-zielony świat. Stare bobry, pływając dokoła, nasłuchiwały czujnie, gotowe w razie najmniejszego niebezpieczeństwa klasnąć głośno ogonem o wodę, aby dać sygnał do ucieczki.

Od dawna jednak nikt ich tu nie niepokoił. I chociaż nie wiedziały, że ich maleńką krainę otacza na mapce gruba, czerwona linia rezerwatu, czuły się bezpiecznie. Pozwalały więc małym na coraz dalsze wycieczki po jeziorze i w górę Hańczy. Wkrótce młode bobry umiały doskonale wyszukiwać sobie same pożywienie, a w wędrówkach swoich docierały aż do dalekiej wyspy. Wydawało się, że nic im tu nie grozi...

Pewnego sierpniowego dnia naj-

bardziej energiczny z braci — ten, o którym wam już mówiłem — płynął na drugi brzeg zatoki. Nikt z jego rodzeństwa tam jeszcze nie dotarł. Płynął spokojnie ku piaszczystemu brzegowi, przecinając na skos zatoczkę. Nagle usłyszał jakiś szelest. Nie zdążył dać nurka — huknął strzał, zakotłowała się woda. Ostatnim, kurczowym ruchem bóbr zacisnął jeszcze przednie łapki w pięści, jakby chciał walczyć o życie...

Kiedy myśliwy, który przekroczył najświętsze prawo rezerwatu, wciągnął bobra do łódki — przestraszył się. Myślał, że strzela do wydry. Wiedział, że za zabicie bobra grozi mu bardzo surowa kara. Podpłynął więc do odległego brzegu i ukrył martwego boberka pod wielkim kamieniem.

Tam po kilku dniach znaleźli go przypadkowo rybacy i zawieźli do gajówki. Stary leśnik aż poczerwienił z gniewu — zabić bobra! Kto śmiał to zrobić?! A jeżeli teraz bobry wyniosą się z Wigier? Tyle lat nie było ich tutaj, tak niedawno dopiero wróciły...

Rodzina bobrza nie wyniosła się jednak. Długo szukała zaginionego, a rybacy, siedzący nieruchomo z wędkami, opowiadali, że widzieli bobry nawet na dalekich brzegach.

Od tego czasu były jednak bobry bardzo ostrożne. Kiedy poszukiwania nie dały żadnego rezultatu, nie zapuszczały się już tak daleko i za najmniejszym szelestem chowały się szybko pod wodę z głośnym pluskiem płaskich ogonów. Był nawet taki okres, kiedy przez kilka dni siedziały nieruchomo w norach — bo w lecie bobry nie mieszkają w domku — nasłuchując głuchych uderzeń młotów i spienionego bełkotu wody. Nie wiedziały przecież, że dokoła rezerwatu ludzie wbijają w dno jeziora długie, mocne pale i rozciągają pomiędzy nimi gęste, kolczasty drut.

Niedaleko leśnego cypla stanęła mała budka strażnicza, a na przeciwległym brzegu zamieszkał specjalnie wyznaczony strażnik — „bobrowy dziadek“ — jak nazywali go rybacy. Ludzie — przyjaciele postanowili za wszelką cenę obronić bobry przed ludźmi — wrogami.

Bobry jakby wyczuwały ten przyjazny stosunek. Ale najbardziej chyba przyczyniła się do tego przygoda, która spotkała starego bobra, ojca rodziny. Było to następnej wiosny,

w rezerwacie panował znów spokój — popłynął więc jak dawniej do wyspy, aby przyholować stamtąd ścięte drzewo. Raptem na środku jeziora poczuł, że coś owija mu się koło nóg, zatrzymuje go w miejscu. Zaczął się szarpać, zaplątując tylko mocniej wokół całego ciała sieci rybackie zastawione na jeziorze. Na szczęście, pływaki były na wierzchu i sieci nie wciągnęły bobra do wody. Mógł więc utrzymać głowę na powierzchni, a gęste futerko, w którym tak dobrze trzymają się pęcherzyki powietrza, ratowało go od zatonięcia.

Rybacy, którzy nadpłynęli nad rankiem, znaleźli bobra półżywego z wyczerpania. Z wielkim trudem udało im się wypłatać go delikatnie z sieci. W łodzi leżał jak martwy. Ale gdy dopłynęli do granicy rezerwatu i szorstkie rybackie ręce ujęły go ostrożnie i zanurzyły w wodzie, sprężył się nagle, uderzył tylnymi łapkami o wodę i zniknął. Dopiero przy samym brzegu, tuż koło żeremia, wynurzyła się na chwilę płaska, pokryta futerkiem głowa i zmąciła się woda przy podziemnym wejściu do tunelu.

Od tego czasu bobry zaczęły się znowu zapuszczać na dalsze wyprawy, obserwując tylko z ukrycia „bobrowego dziadka“, który co dzień podpływa na swojej łódeczce do rezerwatu pilnując, aby nikt nie zrobił krzywdy mieszkańcom najmniejszej osady nad jeziorem.

Tak, osady. Bo kilka miesięcy temu, prześliznąwszy się pod kolczastymi drutami, przybiłem do cypla na łódeczce strażnika, zobaczyłem nad brzegiem jeziora ukryte wśród pozółkłych trzcin nie jedno żeremie — lecz dwa! A gdy zapadając po kostki w grząskim gruncie i przeskakując wykopane przez bobry kanały i otwory tuneli obchodziłem z gajowym „bobrową ziemią“, natknęliśmy się niespodziewanie, przy końcu jednego z kanałów, na wysoki zwal nagromadzonych okrągłaków, pociętych na kawały i odartych z kory.

— Widzi pan, widzi pan, będą budowały trzecie żeremie! Oho, będzie ich chyba teraz z dwanaście sztuk!

Osada nad jeziorem — tak jak i ludzkie osady w naszym kraju — staje się coraz większa...



## CACKA Z ŻYTNEJ SŁOMY

(Dokończenie ze str. 7)



Wykopaliska archeologiczne. Dwaj krakowscy naukowcy — prof. Mieczysław Radwan i mgr Kazimierz Bielenin natrafili w rejonie Gór Świętokrzyskich na przedhistoryczne piece do wytapiania żelaza, tzw. dymarki. Prymitywne urządzenia tego typu znane są z różnych epok i miejscowości, nigdzie jednak nie znaleziono dotychczas tak wielkiego ich skupienia na niewielkim obszarze. Setki dymarek świętokrzyskich, uszeregowanych w regularne trój- i czwórzędy — to prawdziwa sensacja w świecie nauki. W następnym numerze zamieścimy obszerny artykuł K. Bielenina na ten temat. Będzie to pierwsza publikacja dotycząca wyników badań wykopaliskowych, przeprowadzonych na terenie niedawnego odkrycia.

słomek, aby otrzymać plecionkę szerszą i cieńszą; krajanie ich wzdłuż dla uzyskania różnych szerokości; zaplatanie 4 słomek w długie pasemka zwane „ząbkami“; 7 słomek — w znacznie szersze „borty“; 11 słomek — w kunsztowne wałeczki. Z czasem kobiety ołobockie nauczyły się kolorować słomę anilinowymi barwikami, co w znacznym stopniu przyczyniło się do urozmaicenia zdobnictwa. Wrodzone poczucie piękna i duża pomysłowość sprawiły, że dziewczęta i kobiety wytworzały zaczęły własne motywy zdobnicze, odmienne od schematycznych ornamentów pańien z klasztoru.

Z długich wstęg „ząbków“ i „bort“ zaczęto formować najrozmaitsze przedmioty: kapelusze męskie i damskie, torebki, sakwy, puzdra, wazoniki, bombonierki, szkatułki, makatki, dywaniki, wycieraczki, maty, pantofelki i wiele innych.

Sztuka wyplatania różnych przedmiotów ze słomy szybko rozpowszechniła się w całej wsi i w dużej mierze wyparła zamiłowanie do robienia haftów i koronek. Niewiele kobiet wytrwało przy szydełkach i dlatego ani hafciarstwo, ani koronkarstwo nie posiada dziś w Ołoboku poważniejszych tradycji.

Zwyczajem stało się we wsi wychodzenie na roboty w pole w szerokich kapeluszach domowej produkcji, udawanie się po zakupy z dużą torbą słomianą i oprawianie obrazków w misterne ramki ze słomy.

Wyrabiane początkowo na własny użytek przedmioty znajdować zaczęły chętnych nabywców w okolicznych wioskach i pobliskich miasteczkach. W chałupach zaczęto więc nastawiać się na zbyt. I w taki sposób przed stu przeszło laty powstał w Ołoboku chałupniczy przemysł słomkarski, który z większymi i mniejszymi przerwami przetrwał do dzisiejszych czasów.

Okres międzywojenny i lata okupacji nie sprzyjały jednak ołobockiemu słomkarstwu. Liczne przyczyny złożyły się na to, że miejscowa ludność niemal całkowicie zaprzestała wyrabiać tradycyjne cacka.

Dopiero po ostatniej wojnie przypomniła je znana w Wielkopolsce etnografka, Wiesława Cichowiczowa.

Okazało się wówczas, że odszukano tutaj zaledwie kilka kobiet pamiętających sztukę wyplatania, a i z tych niewiast nie wszystkie wykazywały dostateczną zręczność i pomysłowość. Zachodziła konieczność zorganizowania specjalnego szkolenia. Dzięki subwencji państwowej na przełomie 1949/50 roku odbył się w Ołoboku trzymiesięczny kurs, na który zapisało się 25 dziewcząt. Prowadziła go doskonała znawczyni słomkarstwa, nauczycielka Burowa z Kępna przy wydatnej pomocy najlepszych słomkarek miejscowych.

W kilka miesięcy później w Poznaniu i paru miastach powiatowych pojawiły się na regionalnych wy-

stawach twórczości ludowej artystyczne wyroby ołobockie. Znalazły one nie tylko uznanie u miejscowej ludności, lecz zainteresowały również pewną spółdzielnię w Warszawie. Niestety — zainteresowania te obejmowały jedynie półfabrykaty, a nie gotowe wyroby.

Przez kilka lat spółdzielnia warszawska zgłaszała zapotrzebowanie na większe ilości pasemek słomkowych, w roku ubiegłym natomiast z dalszych dostaw zrezygnowała. Chałupniczy przemysł ołobocki znalazł się tym samym w impasie, z którego nikt nie próbuje go wydobyc. Dzisiaj w chałupach ołobockich leży ogółem kilkaset tysięcy metrów pasemek ząbkowanych i gładkich, na które nie ma reflektantów. Najręczniejsze słomkarki nie znajdują żadnych możliwości by zabłysnąć talentem.

Sprawą słomek ołobockich powinna zainteresować się Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego, w której placówkach cacka ołobockie znalazłyby zbyt. Miałoby to tym większe znaczenie, że utalentowane słomkarki nie ograniczałyby się do produkowania tylko półfabrykatów, lecz jak dawniej wyteęwałyby całą swą pomysłowość, by nabywców zopatrzyć w wyroby o niewątpliwych wartościach artystycznych:

Tadeusz Pasikowski

Oddajemy do rąk Czytelników pierwszy numer nowej serii ZIEMI. Wydawanie tego miesięcznika jest wynikiem najistotniejszej potrzeby naszego ruchu krajoznawczego, wyrażonej w żądaniach rzesz członków Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Dawna ZIEMIA wychodziła od roku 1910, przez lat 40 służąc pięknej idei. Nie tu miejsce na ocenę tej służby. Nowa seria nie jest tylko nawiązaniem do pisma, które 6 lat temu zamarło nie bez żalu i protestów. Oprócz tytułu chcemy po dawnej ZIEMI odziedziczyć szlachetne intencje jej organizatorów.

Nie otwieramy pierwszego numeru naszego pisma rozważaniami nad istotą, celem czy zadaniami krajoznawstwa. Przyjdzie na to czas, gdy ruch krajoznawczy zacznie się odradzać w naszym Towarzystwie na nowych, poważnych zasadach.

Uruchomienia ZIEMI domagało się wiele tysięcy jej dzisiejszych Czytelników. Być może treść i forma pisma nie zawsze odpowiadać będzie ich potrzebom i zgadzać się z ich upodobaniami. Prosimy o przekazywanie nam swoich uwag. Redagując pismo będziemy się starali uwzględnić życzenia Czytelników.

ZIEMIA — ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY, organ Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, z-ca red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, układ graficzny — JANUSZ MILEWICZ. Tymczasowy adres redakcji: pl. Wiosny Ludów 8, Kraków, tel. 571-04. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Nakład: 30 000 egz. Papier rotograniowy 70 g. Cena zł 3.—, Zam. nr 733/56. M-7-4915. DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE. Warunki prenumeraty: wpłaty na prenumeratę na rok 1957 przyjmuje PPK RUCH Warszawa, Srebrna 12, na konto PKO I-6-100.020 w terminie od 11. XI. do 10. XII. 1956. Ważni prenumeraty: kwartalnie zł 9, półrocznie zł 18, rocznie zł 36.

W NASTĘPNYM NUMERZE m. in.:

NURKOWIE W MORSKIM OKU

TWIERDZA KRZEMIONKI

BITWA POD OLIWA

SKANSEN NA MAZURACH

ZEGARY SŁONECZNE W POLSCE



6065